

M. SYNORADZKI

# WAŃKO SROGI

Powieść historyczna  
na tle XIV wieku



*M. Synoradzki*

Biesiada Literacka

WAŃKO SROGI



MICHAŁ SYNORADZKI

---

# WAŃKO SROGI

POWIEŚĆ HISTORYCZNA NA TLE XIV WIEKU.

„Tutaj niosę wam pamiątki:  
Szmat sztandaru — trumien szczątki  
I powiastek treść.”

W. Pol. „Pieśń Janusza”

40232

BIESIADA LITERACKA

Księgozbiór  
Humanistyczny

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA  
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0260006

165433

op.



40232

*Druk. Synów St. Niemiry. — Warszawa, plac Warecki 4*

# JÓZEFOWI ALBINOWI NIEMIRZE

NA PAMIĄTKĘ WSPÓLNIE PRZEŻYTYCH, CIĘŻKICH CHWIL  
W LATACH NIEDAWNYCH

WRAZ Z SERDECZNYM UŚCISKIEM DŁONI

pracę tę przesyła

AUTOR.

Warszawa, 10 maja 1914 r.

B/45/0704



Tutaj niosę wam pamiątki:  
Szmat sztandaru — trumien szczątki  
I powiastek treść.

W. Pol „Pieśni Janusza“.

## I

Posępnie zachodziło słońce lipcowe, staczało się leniwie, ospale, niechętnie po za obłoki dziwnej, nieokreślonej barwy. Ułożyły się one w kształty jakichś grodów, tam i sam więzyce strzelały z po za wałów olbrzymich, to dachy chat, po nad którymi zdawały się unosić kłęby dymów, jakoby od pożaru. Słońce oblewało je blaskami jaskrawemi, złociło, czerwieniło, powiększając złudzenie. Powoli blaski te słabły, obłoki ciemniały coraz to więcej, rozplywały się, inne formy przybierając.

W puszczy leśnej mrok wcześniej panowanie obejmował. Ledwie słońce na brzeg firmamentu się osunęło, ciemność ją zaległa, z ową tajemniczą ciszą, pełną dziwów i trwogi. Rzadko odezwał się głos jaki, co skoro się zdarzyło, wnet go chwytaly echa, obnosiły od drzewa do drzewa, powtarzały, podrzeźniały, milkły potem nagle, jak gdyby w przepaść bezdenną zapadając. A brzmiały odgłosy te ponuro, groźnie, złowroźnie... zdawało się, że



wychodzą z piersi olbrzymów, wadzących się z sobą. Czasami słyhać było głos odmienny—lękliwie zawodzący, do prośby pokornej, do żalu podobny... Czasem znowu zaśmiało się coś szydlerco, zarychotało z urąganiem...

Las tłumnie był snąć zamieszkany, chociaż oko ludzkie mieszkańców tych dojrzeć nie mogło.

Pod rozłożystemi konary starego dębu siedziało dwóch podróżnych. Odpoczywali widocznie. Miejsce sobie obrali dogodne, na mchu, obficie zaścieniającym ziemię. Drzewa tu rozstępowały się nieco, tworząc małą polankę. Jeden ów dąb stał pośrodku, niby namiot, rozpięty umyślnie, gwoli swobodnego spoczynku.

Podróżni w milczeniu posilali się skromnym zapasem żywności: chleba krajaniec, kęs solonego mięsa, flaszka z napojem — nic nadto. Dwa rosłe, piękne rumaki opodał trawę żuły, czyniąc osobliwego rodzaju szmer. Obadwaj spoczywający średniego byli wieku, ubranie różnicę stanu wskazywało. Pan to był i sługa. Pierwszy wcale rycerską miał postać, wzrost ani nadto wielki, ani mały, w samą miarę. Twarz nieco posępna, wyrazem pewności nacechowana, wskazywała umysł poważny, stanowczy, od gwałtownych porywów stroniący. Oczy pociągały łagodnością, nie ową mięką, niewieścią, lecz zwykłą u ludzi zacnego i szla-

chetnego serca. Miał na sobie podróżny ów zbroiczkę hartowną, bez ozdób kosztownych, lecz przedniej roboty, mieczyk obosieczny przy pasie szerokim, po za którym nóż tkwił długi i obuszek, krzemieniami nabijany. Głowę hełm polerowany gładko przykrywał, do całości zbroi zastosowany, trzewiki blachami okute, ze spiczastymi nosami, dopełniały zwierzchniego stroju.

Sługa, również zbrojnie przyodziały, mieczysko długie dźwigał, łuk i kołczan pełen strzał, oraz topór o krótkiej rękojeści. Miecz osobliwie zwracał na siebie uwagę. Nielada ręka zdołała go podnieść i użyć odpowiednio, tak był ciężki i wielki. Zaś właściciel radził sobie z nim łatwo. Człowiek ten posiadać musiał siłę nadzwyczajną, o czem przekonywała cała jego postać. Olbrzymiego wzrostu, barczysty, pleczysty, pięście mu żyły opłatały grube, niby postronki. Patrzył śmiało, wesoło, uśmiechał się dobrodusznie.

Spoczywali dość długo, pan o wyruszeniu nie myślał, co widząc, sługa chrząkać począł, chcąc mu czas przypomnieć.

— Słońce już zaszło — mruknął wreszcie. — Pora nam, miłościwy panie.

Rycerz nie odpowiadał, jakby nie słysząc tej uwagi.

— Pora nam! — głośniejszym głosem odezwał się sługa. — Wstawajcież, panie, bo noc.



— Coś rzekł? — spytał rycerz, budząc się z zadumy.

— Owom mówił, że noc ciemna, jak przepaść, miłościwy panie, więc ruszać pora. Podczas ciemnicy i w lesie do tego, bezpieczniej na koniu. Wszakci tu noclegować nie będziemy?

— A nie będziemy — odparł rycerz i ziewnął.

— Trza zgarnąć strawę — mówił półgłosem sługa. — Kto wie, czy jutro i takiej człowiek dostanie. Psie czasy! Słyszane to rzeczy, aby taki pan, taki rycerz, jak wy... czarny chleb łamać musiał za posiłek. Jak świat światem, żaden Odrowąż takich czasów nie zaznawał... Przyszły one na pana Jaszka.

Zawijał starannie resztki posiłku, chowając je do sakwy, u siodła przytroczonej.

— Psie czasy—prawil nie ustając.—O nic nie łatwiej, jak z głodu zdychać! Jeżeli tak dłużej potrwa, zginie człowiek, jak mucha.

Westchnął i splunął.

— Co tam mruczysz, Barwa? — przerwał Jaszkiem nazwany rycerz. — Gad cię jaki ukąsił?

— Gorzej niż gad, panie miły, stokroć gorzej — odparł Barwa, konie gotując. — Skarżę się oto na głodne czasy sam przed sobą, nie mając komu.

— Albożeś głodny? — zagadnął rycerz żartobliwie.

— Wam, miły panie, wszędzie będzie dobrze, chociażby i w pieklesku; ale na to trzeba naturę mieć. Jam inszy. Prawda... co Odrowąż, wojedziński syn, to nie Barwa, pachol nikczemny. Inszać rzecz ziemianin, rycerz, a insza sługa. Wyście spożyli kęs chleba i dosyć wam. Syciście. A ja? Czy się do Płocka dwłokę — nie ręczę. Kości i skóra na mnie dziś, a dawniej?

Spojrzał po sobie i znowu westchnął, chociaż wcale pozór jego nie odpowiadał żalom. Cielska na sobie dźwigał sporo, a o głód nikthby go nie posądził.

— Zawsześ jednaki, nikt ci dogodzić nie w stanie — rzekł, na koń siadając, Jaszko.

— A nieprawda! — zaprzeczył Barwa. — Mnie byle czem zbyć. Że dziś wyrzekam, to insza rzecz.

— Niemasz czego. Inni i tego nie mają.

— Wielka mi pociecha! — ramionami wzruszył Barwa. Co mi z tego, że nietylko ja, ale insi z głodu przymierają? Wolałbym, żeby wszyscy byli i syci, i radzi.

Ruszyli z miejsca.

— Miłościwy mój — zagabnął nagle Barwa, który języka nie zwykł beczynn timerzyć — głowie się a głowie: z czego on głód?

— Dopust Boży — odparł krótko wojewódzic.

— Hm... dopust Boży... Widzi mi się, że



w tem słusznosci wcale niema. Skoro dopust, znaczy się — za grzechy. Jużcié ludziska grzeszą, ani mówić, ale nie wszyscy. Wy panie, albo ja? Czemeśmy grzeszni? Żyjemy, jak mnichy, za cóż\* więc cierpimy? Sprawiedliwość to? Powiedźcie panie sam.

— Pleciesz duby — przerwał mu wojewodzie. — Pana Boga rozumu chcesz uczyć?

— Ani chcę uczyć, anim nawet o tem pomyślał — mówił Barwa. — Książd Żegota zaświadczy, jakom chrześcijanin przykładny. Wymawia mi on, co prawda, że do dziewczek lgnę... ba! nie świętym. Od tego są. Jeżeli zaśie w dopuszcie dzisiejszym sprawiedliwości nie widzę, to nic dziwnego, że sobie westchnę pocichu. Człowiek nie drewno.

Jechali czas jakiś w milczeniu.

— Toć jest dziw — począł znowu Barwa — że zwierzyny ani śladu. Krom wilków, kruków i kawek, nic pocziwego nie zobaczysz. Bo że chleba brak, no... śniegi trzymały długo, ziarno pogniło, można sobie wytłumaczyć. Litwa, Jaćwież, Krzyżaki wyniszczyli resztę. Pan Łoktek też. Zwierzyna zaśie gdzie? Jakby ją kto wymiótł.

— Przestań raz — fuknął wojewodzie. — Nudzisz bez miary i końca.

— Bo nie słuchacie co gadam — odparł uparty Barwa. — A wcale do rzeczy prawie i gładko.

Umilkł wszakże.

Tymczasem ciemność zupełna ogarnęła puszcze.

Musieli posuwać się zwolna, omijając co chwila stojące na zawadzie drzewa. Ciemność atoli niedługo trwała. Rychło księżyc zajął miejsce swoje na szlakach niebieskich, rzucając obficie blade promienie na ziemię. Przedzierały się one między liśćmi drzew, oświecając przestrzeń wyraźnie.

Tentent kopyt głucho powtarzały echa, naruszając poważną ciszę nocy. Czasem koń parsknął, zarżał, gałęź trzasnęła pod naciśniętym kopytem, lub liście suche zaszeleściły.

Naraz ozwało się ponure, przeciągłe wyście... Wilki śnać żeru szukały.

— Oho! — mruknął Barwa. — Bez nich się nie obejdzie.

Wycia brzmiały coraz to głośniej, ilość głosów się zwiększała, tworząc chór dziki, ucho rażący.

Barwa się niecierpliwił.

— Wolałbym tej muzyki nie słyszeć — rzekł. — Nie powiem, iżby to było przyjemnem. A i bezpiecznie za bardzo nie jest.

— Tchórz jesteś! — roześmiał się rycerz.

— Jeszcze mnie nikt po tyle nie żgał — nieco obruszony, począł Barwa. — Wy, miły panie, najlepiej powiedzieć możecie, jak w potrzebie staję. Ale insza rzecz bójka, insza



zwierz szalony. Nuż trafi się stado gromadne i do tego wygłodniałe. Wolałbym z niedźwiedziem za bary się wodzić. Mówcie, co chcecie, panie, a ja ostanę przy swoim, że i wy, chociażście najprzedniejszy rycerz, wojewodzie i Odrowąż, przecież nie stalibyście w miejscu, widząc te szpetne gady w gromadzie. Ot Maćko z Jagodzina, Wszeborów sługa... zajął go one. Bodaj w tym samym lesie. A Jagna z Płocka? Pożarły ją, niebogę, do kostki. Ech.... naliczyłbym więcej.

Ręką machnął.

— A toż co? — zawołał po chwili. — Słyszycie panie?

Do wycia wilków głosy ludzkie się przyłączyły. Były to wrzaski niesforne, szalone, wściekle... groźbę wyrażały. Szły z niedaleka, od zachodniej strony.

Jaszko konia wstrzymał, pochylił się na nim i nadsłuchiwał.

— Co to być może? — szepnął do siebie.

— Szyję dam, jeżeli to nie zgraja łotryków — mruczał podtenczas Barwa. — Oni, jak mi Bóg miły oni! Ktoby inny? A niechże was wilcy pożrą, obwiesie.

Krzyki się wzmagaly coraz bardziej, słychać je było wyraźnie.

— Łotry, prawda twoja — rzekł rycerz — jeno nie sami. Napastują kogoś. Z pomocą tam iść trzeba.

To mówiąc, konia w stronę, skąd krzyki dochodziły, skierował.

— Panie... panie miły... co czynicie! — wołał Barwa. — Kat wie, co zastaniemy. Możemy głowę dać. Jezu Marya... Panie!

Rad nie rad jednak podążył za wojewodziecem.

— Każę się obić tym oto waszym obuszkim krzemienym, jeżeli biedy nie dopytamy — wyrzekał. — Zbójów gromada sroga z pewnością. Ejże... panie najmilszy, zjedźmy z tej drogi. Czart bierz dobre serce, lepiej karku pilnować.

— Patrz przed siebie, a nie bredź! — surowo przestrzegł Jaszko.

— Patrę, patrę — mruczał niestrudzony Barwa. — Niedługo już mego patrzenia. Jakbym wiedział, że łba nie dotrzymano na karku. Będziecie, miły panie, przed Bogiem, za krew niewinną odpowiadali.

Wkrótce znaleźli się przed wzgórzem, na którym stał gródek niewielki, obronnie zbudowany i trwale. Rowy szerokie go obiegały, po za niemi wał ziemny się wznosił, na tym zaś krzaki cierni i głógów rosły gęsto. W wałę brama, z kłoców grubych, dębowych, przy niej kleć stróża, a za tą dopiero budowle stały, wszakże w niejakiem oddaleniu, częstokołami jeszcze ubezpieczone. Przed bramą gromada ludzi się tłoczyła, całą siłą pracując, aby ją



wywalić. Chcieli się do gródka dostać, aliści ich nie puszczano.

Czerń to była rozpasana, pijana nędza i głodem, który pod owe czasy panował. Ledwie czem pokryci, świecili nagiemi członkami, a raczej kośćmi, budząc politowanie i zgрозę zarazem. Miecz ów dźwigał, inszy toporem wywijał, ten znowu włócznię ciągnął, najwięcej jednak gołe pięście podnoszono.

Czas bo srogiej klęski, dla Mazowsza osobliwie, nastał. Śniegi zimowe przetrwały długo nad porę, ziarno wyniszczało... ziemia nie dostarczyła spodziewanego plonu. Nie dostarczyła go prawie wcale. Stąd głód niesłychany. Straszne działy się rzeczy. Bydło z braku paszy padało, ludzie, co nie padło, różnili na strawę, następnie do padliny się brali. I tej wkrótce zabrakło. Szaleństwo głodowe ogarniało nieszczęśliwych... Pożywano trupy ludzkie, z wisielnic je odzierając...

Człowiek, do ostateczności rozpaczą posunięty, zwierzęciem się stał. Głód go zbydłcił, w bestię przemienił krwiożerczą. Wszelkich względów na Boga, godność ludzką, prawa, związki rodzinne, zapominano, pod wpływem rozpaczcy.

Ojciec synowi strawę z ust wydzierał... matki zabijały dzieci własne na strawę \*).

\*) Historyczne — patrz Długosz, Kromer i inni.

Broniono życia zapamiętale.

Do klęski głodowej przyłączyły się inne jeszcze. Raz po raz przebiegały Mazowsze oddziały wrogie, ogniem i mieczem niszcząc wszystko, co na drodze stało. Prusacy, Litwa, krakowskiego Łoktka ludzie (z tym bowiem Wańko mazowiecki się wadził), wreszcie najgorsi — rycerze niemieccy, Krzyżakami zwani.

Najstarsi ludzie nie pamiętali, iżby się kiedy coś podobnego działo.

Nie dziw więc, że szaleństwo ogarniało tłumy. Jeszcze rycerstwo, ziemianie i kupcy dawali sobie radę, lecz lud... Ten opuszczał grody, gródki, sioła i przysiołki, zbierał się w gromady niesforne, z rozpaczą usiłował utrzymać życie. Włoczyły się zgraje owe, jak widma jakie... Do cieni ludzkich podobne, snuły się po gościńcach i puszczech, niby stada wilków, na żer dybiących.

Taką zgraję mieli przed sobą Jaszko Odrowąż, wojewody płockiego Andrzeja syn i przyboczny jego Barwa, osobliwemi względami pana się cieszący.

Gromada, na widoczną niemożliwość nie zważając, usiłowała wtargnąć do gródka, gdzie obiecywano sobie znaleźć żywności i wszelkiego pożytku do syta. Aliści gródek był nadto obronny. To też na wałach ludzie stali więcej patrząc, aniżeli odpierając napastnika. Zre-





szta ten ostatni więcej nad dwa dziesiątki nie liczył.

Na widok zbrojnie przybywających, czerń pierzchła z okrzykami wściekłości. Mniemano, że pomoc w większej sile nadciąga.

— Huzia ich! A huzia! Hopsa! — wołał Barwa, mieczem swoim olbrzymim wywijając. — Psy to są, miłościwy panie, lękliwe, pracy naszej nie warte.

Jaszko patrzył za znikającymi w milczeniu.

— No... bądźcobądź — począł Barwa — wielkie jest szczęście, że sobie sami poszli. Mielibyśmy robotę, gdyby im się zechciało z nami próbować. Hołota to, ale siła złego na dwóch. Dzięki niech będą Najświętszej Pannie i patronowi memu, za tak widoczną opiekę.

— Co to za gródek? — przerwał mu Jaszko, wskazując budowlę.

— Pies go zna — odparł przemilczawszy Barwa. — Nie słyszałem, iżby nieopodał Płocka, w tej stronie, kto mieszkał. Ano... toć się dowiemy, bo przecież należy wstąpić i — dodał ciszej — spocząć, czego nam, jako rycersko w ich obronie stawającym, nie odmówią.

Zanim Jaszko zdążył odpowiedzieć, już Barwa podsunął się do bramy, wołając:

— Otworzyć... Hej!!

Nikt nie odpowiadał.

Z wałów ludzie patrzyli, nie ruszając się z miejsca, jeno szepcząc do siebie z cicha.

— Otworzyć, a żywo! — dobijał się Barwa. — Uszów nie macie, niecnoty jedne, albo li i ślepiów też?

Z okienka, nad bramą umieszczonego, wyrzała głowa jakaś, oczyma przestraszone mi wodząc po oczekujących.

— A kto tam? — spytano.

— Dowiesz się, skoro za wrotami będziemy — rzekł buńczuczno Barwa. — Otwieraj, powiadam, taki a taki synie, jeżeli nie chcesz oberwać ode mnie i od pana swego.

— Jedźcie w swoją drogę — brzmiała odpowiedź. — Otwierać zakazano. Niema tu dla włóczęgów miejsca.

Barwa w pasyę wpadł.

— A! niecnoto jeden... psi synie... lotrze! — wrzasnął. — Kogoż ty, obwiesiu, włóczęgami nazywasz? Wieszże kto my, wisielcze? Pewnieś nigdy nie widział tak zacnych gości...

— Jedźcie z Bogiem — odparł niewzruszony temi słowy stróż. — Znamy takich gości. Co dnia się włóczą, spokojnych ludzi napastując.

— Bodajżeś zczeszł, sobako parszywy... bodaj ci ozór przebrzydły wyrwano! — krzyczał Barwa. — Taka to wasza wdzięczność za pomoc i obronę? Gdyby nie my, jużbyście do tej pory ziemię gryźli, niecnoty,



pasyby z was darto. I wartoż się było trudić dla was? Bodajem wprzód z konia spadł.

— A przestań! — rzekł Jaszko, którego ta scena zniecierpliwiła. — Tym sposobem nic nie wskórasz.

Zbliżył się ku wałom, wołając:

— Co to za gródek?

— A wam na co wiedzieć? — zapytał ktoś z góry.

— Chcę wiedzieć—odparł Jaszko spokojnie. — Nie obawiajcie się, ludzieśmy spokojni, swoi, a nie łotrowie przydrożni.

— Juści nie swoi jesteście, gdy Borowic nie znacie.

— Więc Borowice to?

— A Borowice.

— Czyjeż one?

— Pana Spytką. A no jedźcież raz, gdyście uczciwi, bo późno.

— Oznajmijcież tedy panu Spytkowi, że wojewodzie Jaszko o gościnę go prosi.

Ludzie na wałach poruszyli się żywo.

— Wojewodzie Jaszko? — pytano.

— Płockiego Andrzeja syn?

— Innego niema, gawrony! — krzyknął Barwa. — Żwawo mi z oznajmieniem spieszyć, bo popamiętacie...

Na wałach coś szeptano, kilku zbieżało po rozkazy pańskie.

— Musi ten Spytek strasznie niehumanym

człkiem być, — mruczał Barwa. — Niespodziewam ja się wcale gościny, jak należy. A toć do nieba łatniej bym się dostał, niżeli do tego oto gródka.

Ze dworu tymczasem co tchu nadbiegł sługa, dając znaki wrotnemu, by bramę otwierał.

— W strachu są teraz — szepnął Barwa. — Oj! wyprawiłbym wam skórę na grzbietach, hołoto nikczemna, iżbyście do śmierci pamiętali...

Brama skrzypnęła, zachwiała się, drągi, zapierające ją wewnątrz, upadły, droga do gródka stała otworem.

— Pan Spytek prosi, iżbyście łaskawie wjechali — rzekł czeladny.

Jaszko, a za nim Barwa, z miejsc ruszyli.

---

## II

Na przedsieniach dworu stał sam gospodarz, czekając oznajmionych gości.

Nie był to nazbyt stary człowiek, choć włos miał siwy i twarz zmarszczkami objętą. Postawy pańskiej, nieco dumny, a jakoś dziwnie nachmurzony. Z pod czoła pofałdowanego patrzyły oczy czarne, przenikliwe, ponu-



ro, z niedowierzaniem. Coś musiał ten człowiek w sobie tać, co go gryzło i trapiło. Wstrętnego wrażenia nie czynił, ale też i za serce zbyt nie pociągał.

— Niepokoję was — przemówił Jaszko — wybaczenie, aleśmy z drogi, usłyszawszy wrzask czerni, zboczyli, mając zaś tu dach nad sobą, radzi spoczniemy.

— Proszę was, wojewodzicu — na to Spytek — chodźcie do izb.

Prowadził, drogę wskazując.

W przygotowanej naprędce izbie, woskowe paliły się świece, stół zastawiono, co obaczywszy, Barwa rozjaśnił twarz.

— Spocznijcie, wojewodzicu — zapraszał gospodarz — niechże was zapoznam i najrę. Siłę słyszałem o ojcu waszym i o was też.

— Pochlebiacie mi — rzekł skromnie Jaszko.

— Broń Boże. Gładkich słówek nie cierpię — zaprzeczył Spytek. — O panu Andrzeju i o was ludzie opowiadają niemało. Dałście się we znaki Litwie i Niemcom.

— Darzyło się szczęśliwie.

— Że szczęśliwie, to prawda — odezwał się Barwa, zdejmując zbroję z pana — ale i to prawda, że nie każdy posiada tyle rycerskiego ducha, ile mój pan. Trzeba go widzieć, gdy do mieczów przyjdzie...

Gestem dokończył, uwielbienie okazując.

Jaszko do koni go wystął, bo mu się już dziś gadulstwem naprzykrzył.

— Rad jestem, żeś was dostał — mówił Spytek. — Nie wiem, co się na świecie dzieje. Siedzę w domu, oto jak borsuk w norze, ludzi rzadko widując.

— Czemuż to?

— At! — westchnął Spytek. — Dogryźli mi tak, żeś ich obrzydził.

Oczy spuścił, jakby go coś nieprzyjemnego dotknęło.

— I jaśm tedy sprawił wam zawadę — rzekł Jaszko, którego te słowa zdziwiły.

Spytek żywo zaprzeczył.

— Wy nie. Owszem, miło mi, żeście zawitali do mojej pustelni. Pustelnia to... zamknięty siedzę, jak mnich...

— O was też ludzie nie wiedzą — rzekł Jaszko. — Do tej pory o Borowicach nie słyszałem, chociaż te strony znam.

— Borowice niedawno stanęły — odparł Spytek. — Zbudowałem je sam... A co do mnie... — dodał ciszej — możecie też o mojej osobie kiedy słyszeli...

Przerwał, rękoma zamachał, poczem na stół wskazał.

— Pożywajcie, proszę, co Bóg dał. Na te smutne czasy o lepszej strawie nie myśleć. Wszystkim ciężko, mnie też.



Jaszko siadł za stół, obficie zastawiony misami i dzbanami.

— Ptasiego mleka chyba brak — rzekł.

— Żyje się jakoś — kiwnął głową gospodarz. — Na głodowe dnie człek się zapaśnił. Ale... wy, wojewdzu, jakimeście sposobem w tej stronie?

— Od krewnych wracam z Ciechanowa.

— Do Płocka?

— Przez Płock muszę jechać do naszego Otolinka.

— Samowtór jeno? — zdziwił się Spytek.

— Alboż co?

— Po drogach łotrów nie brak, jakże możecie narażać się na niebezpieczeństwo?

Uśmiechnął się Jaszko.

— Z ludźmi się wlec jeno kłopot. Bieda wszędzie, gdzieżbym ich karmił? Wolę oto samowtór z zaufanym moim manowcami się przemknąć.

— Jednak zdrašno. I na manowcach złych ludzi spotkać można.

Kubki nalał.

— Pijcie, wojewodzicu... przezdrowie!

— Cóż w Płocku? — spytał przemilczawszy.

— Nic dobrego. Ludziska narzekają i Boga o zmiłowanie proszą.

— A Wańko?

— Książę? Ten zawdy dobrej myśli, chociaż cieszyć się niema z czego.

— Z Łokciem wciąż się drze?

— To największe nieszczęście — rzekł Jaszko. — Cierpi przez to kraj cały.

— Słyszę, że z Czechami bratać się zamyśla.

— Pono. Mało mu jednych Niemców, jeszcze i Czechów chce mieć na karku.

— Nie powinniście na to pozwalać — żywo podjął Spytek. — Jeszczeby brakowało, iżby nową plagę sprowadził. Dobije, co się żywym ostało.

Za odpowiedź, jeno ramionami poruszył wojewodzie.

— Radzić? — rzekł przemilczawszy. — Łacniej pomyśleć i wymówić, aniżeli do rzeczy się wziąć. Albo on czyjej rady usłucha? Jeno starej księżnej albo O. Wincentego. Gdy go kto inny chce miarkować, do mieczyka się bierze.

Nieboszyk Bołko, rodzic, na śmiertelnem łożu mu nakazywał, aby z Litwą i Łokciem ręka w rękę szedł, przed Niemcami ostrzegał, zaklinał, iżby się z tem plemieniem zdrazićkiem nie bratał, a dzisiaj co? Z Litwą i Łokciem zerwane... z Niemcami sojusz. Wyjdą mu oni boki, jak Konrowi.

— Konrowa bo w nim krew — mru-



knął ponuro Spytek. — Wolę żelazną ma, moc ducha jest, ale zastanowienia brak...

— I miłości ludzi — dokończył Jaszko. — Nie umie sobie ich jednać.

— Nie umie, bo nie chce — syknął z dziwnym wyrazem Spytek. — Nie darmo go Srogim nazwano.

Umilkli obadwaj.

— Bieda, bieda, wojewodzicu miły! — począł znowu gospodarz. — Niebyszałe czasy, niebyszałe klęski. Siedzę w zamknięciu, opodał ludzi, aleć zawsze coś niecoś do ucha wpadnie.

Przepił miodem.

— Nieboszczyk Bolko budował, syn jego niszczy. A stary rozum miał. I on też z Łoktkiem się wadził, ale w końcu zaniechał zwady i rad jego słuchał. Pono był gotów uznać go panem, ale mu śmierć przeszkodziła.

— Nie cierpielibyśmy jak dziś — rzekł Jaszko, potakując. — Śmierć mu dobrego czynu dokończyć nie dała. Wańko pod opieką matki cudzoziemki ostał, która swoich przenosi nad nas.

— Prawda... Czeszka jest — szepnął Spytek.

— Czeszka jest, a Bóg wie, czego się spodziewa... Siostra królewska... Kraków jej w głowie, panowanie. Ona głównie na waśń z Łoktkiem wpływa.

— I Czechów sprowadzić chce...

— Spodziewa się po nich wielkich rzeczy.

— Łoktka z Krakowa wyrzuca społecem, a Wańka na jego miejscu osadzą — rzekł z przekąsem Spytek.

— Do tego chyba nie przyjdzie — zaprzeczył Jaszko. — Krakowski pan głowę na karaku ma; mały człowieczek, niepozorny, a równego sobie niema. Takiego krajowi całemu trza pana.

— Sprawiedliwie powiadasz, wojewodzicu. Jenó taki, jak on, który dobro narodu w jedności upatruje i wszystko w garści silnej chce trzymać, spokój może przywrócić bezpieczeństwo zapewnić i zmorę niesnasek domowych odegnąć.

— Pędzili go precz — podjął ożywoiny Jaszko — bili na głowę, wyklinali... ba! grzebali nawet, on przecież wracał i w końcu na wierzch wypłynął. Któżby wytrwać tyle niepowodzeń potrafił?

— Przedzrowie jego! — zawołał Spytek.

— Daj mu Boże długie lata żyć i panować szczęśliwie! — dorzucił Jaszko.

Wypili do dna obadwaj.

— Widzę, wojewodzicu miły — rzekł odsapnawszy Spytek — że lepiej Łoktkowi niż swojemu panu życzyć.

— Za słusnością idę — odparł Jaszko. — To, co mówię do was dziś, mówię i księciu.



Naturę mam taką, że prawdy kryć nie mogę; zadusiłaby mię. Nieraz śmiało mu wyrzucałem postępowanie, nie zważając na gniew.

— Słyszałem i o tem — uśmiechnął się gorzko Spytek. — Pono raz nawet tak się rozbiesił, że mieczykiem was chciał przeszyć. Prawdali to jest?

— Prawda. W ścianę trafił, bo mu ręka z gniewu drżała. Od tego czasu, gdy co mówię, odchodzi, lub zęby ścina. Ano... wie o tem, że co mam na sercu, głośno wypowiem, a w potajemne knowania się nie wdam. O zdradę mnie posadzić nie może.

— Rzadki z was człowiek — mruknął Spytek — ale on... takich przyjaciół nie wart.

Zmarszczył czoło, pochylił głowę i dokończył głosem, w którym nienawiść i pogroźka drżały:

— Przyjdzie na niego czas, że rachunek zdać musi ze wszystkiego!

Zatrząśł się, jak gdyby go coś strasznego dotknęło, pięścią w stół uderzył i zaklął.

Jaszka to zastanowiło.

— Nie dziwcie się, żem taki — rzekł Spytek, twarz do uśmiechu przymuszając. — Ot chwile mam jakieś podczas, żem do szalonego podobny. Samotnikowi zdziwaczeć nie trudno.

Nazajutrz wstał Jaszko przed świtem, miał bowiem zamiar wyruszyć jak najspiesz-

niej. Słońce się zapowiadało lada chwilę, wszakże jeszcze nie weszło na sklepienie niebieskie. Cisza zalegała gródek, jeno się czeladź na wałach poruszała. Do Barwy trafić nie mogąc, Jaszko polecił wartującym zbudzić go i przywołać, sam zaś przechadzał się po dworze, świeżem powietrzem się ożywiając.

Po lewej stronie dworka był sad owocowy, starannie i umiejętnie utrzymany. Na owe czasy była to rzadkość. Przy klasztorach spotkać coś podobnego można było, atoli ziemianie w hodowanie drzew się nie bawili. Nowość tę wprowadzili z sobą Benedyktyni, a niezbyt się ona jeszcze rozpowszechniła \*). Zoczywszy tedy sad, podążył Jaszko w tę stronę. Z ciekawością przypatrywał się pięknie wysadzonym drzewami alejom, grzędom, pełnych różnobarwnego kwiecica i ziół pachnących, wdychając rozkosznie balsamy, unoszące się dokoła.

Już miał zawracać do dworka, gdy przed oczyma mignęła mu jakaś postać w bieli, zwinnie, niby motylek.

Stanął i patrzył.

Po drożynie, ku grzędom kwiecistym, biegła dziewczka, sama niby kwiat piękna. Młodziuchna, smukła, giętkiej kibici, kształty mia-

---

\*) Ogrodnictwo u nas zaczęło się rozpowszechniać za czasów Kazimierza Wielkiego.



ła dziwnie doskonale. Twarzyczka rumiana, oczki błyszczące, ustka swywołnym złożone uśmiechem, a ogrodzone z obu stron dołkami, w których figliki się kryły ponętne. Zgoła osobliwie to było miłe i wdzięczne stworzenie.

Wstała śnać dopiero co, na gźło wyszywane barwistemi nićmi, narzuciła grzejkę mięką, dozwalającą widzieć szyjkę i nieco piersi białych, niby mleko; nóżek nie ozuła, na rosę i chłód ranny nie zważając.

Dobiegłszy do kwiatków, stanęła, nachyliła się i zrywać je poczęła — nie postrzegając świadka tej dziecinnej swywoli.

Jaszka niespodziany widok w osłupienie niemal wprawił — nieznajoma dziewczka całkiem go zajęła. Wpatrywał się w nią chciwie, nie śmiąc poruszyć, iżby tak miłego obrazka nie spłoszyć.

Długo tak trwać nie mogło. Dziewka, narwawszy pęk kwiatów, podniosła się, wyprostowała... dostrzegła go. Odskoczyła w pierwszej chwili, jakby zbiedz chciała, lecz wstrzymała się.

Stali czas pewien naprzeciw siebie, milcząc i wpatrując się wzajemnie.

— Wy tu co? — odezwała się nagle śmiało dziewczka. — Co porabiacie w sadzie? Kto jesteście? Kto wam prawo dał?

— Trudno pomiarkować odrazu na które pytanie mam odpowiedzieć wpierw — rzekł

Jaszko z uśmiechem. — Tyleś mi ich, piękna dziewczko naraz zadała...

— Wyście Jaszko z Otolinka, wojewodziński syn? — przerwała mu — wczorajście tu do nas zjechali?

— Tenci sam jestem — odparł skłaniając głowę Jaszko. — A wy?

— Nie wiecie?

— Skądże mogę wiedzieć, pierwszy raz was widząc.

— Nic wam rodzic o mnie nie mówił?

— Więc jesteście córką pana Spytką? Zgoła mi nic nie wspominał.

— A córką — mówiła, otulając się grzejką. — Halka Spytkówna.

— Może ojciec ludziom was pokazywać nie chce... — ozwał się Jaszko żartobliwie. — O urok się boi?

— A może — odparła swobodnie — My z ojcem siedzimy w Borowicach tych, jak w lochu, światu nie widząc ani ludzi. Dawniej inaczej bywało...

Westchnęła.

— Was odrazu poznałam, chociaż też pierwszy raz was widzę.

— Jakże to?

— Bo na wojewodzińskiego syna patrzcie...

Rozśmieli się oboje.



Halka nagle podniosła główkę, spojrzała na niebo.

— Czego ja tu z wami gadam? — rzekła — Słońce już weszło a ja... Coby na to rodzic powiedział.

I zakręciwszy się na jednej nóżce, skoczyła ku domowi, trzepocząc rączkami, jak skrzydełkami spłoszona sroczka. Biegła po zroszonej ziemi, jeno fale jasnego, niby len, włosa powiewały naokoło głowy, a lśniły od słońca, niby srebrne.

Na samym wylocie z sadu napadła Barwę, który pana spostrzegłszy, szedł do niego... Stała przed nim, popatrzyła, pękiem go kwiatów po głowie uderzyła i znikła potem, niby cień.

Barwę ta niespodziana napaść osłupiła; stanął, patrzył, mruczał, oczy szeroko wytrzeszczywszy.

Widząc go takim, Jaszko nie mógł się od śmiechu wstrzymać.

— Cóżes ty?

Zapytany, długo głową kręcił, zanim odpowiedział.

— Moc Pańska z nami! — rzekł nareszcie, żegnając się. — Zgiń, przepadnij, siło szatańska! Na psa urok... na lasy i góry... tfu!!

Splunął kilkakroć, nie przestając się żegnać.

— Oszalał! — śmiejąc się, mówił Jaszko. — Dziewka cię nastraszyła?

— Panie miły — anim oszalał, ani mnie dziewczka nastraszyła — odparł Barwa, w stronę, gdzie Halka zniknęła, spoglądając. — Dziewki miałbym się bać? Wiecie dobrze, że z niemi wojować potrafię. A no ta... uląłem się jej. Doprawdym uląłem. Niezwyczajna jest.

Nachyliwszy się do Jaszka, szepnął:

— Te Borowice, ze Spytkiem i zgola ze wszystkim, co w nich jest, nie warte więcej, jeno żeby je spalić na proch, a proch na cztery strony świata rozwiać.

Znacząco oczami typał.

— Co bajesz? Co bredzisz? — fuknął Jaszko. — Zawdy ci świta po głowie.

— Niechaj świta. Powiadam wam, panie — dziwne się tu rzeczy dzieją. Ów Spytek... niewiadomo skąd się wziął, z ludźmi nie żyje, siedzi zamknięty... różnie o nim prawią. Ma chwile takie, że jak szalony biega po gród-ku i ludzi bije, do mieczyka się biorąc. Innym razem płacze, niby pacholę.

— Napletli ci ludzie baśni, a ty powtarzasz. Ruszajże konie sposobić; jedziemy rychło.

— Tak będzie najlepiej — potaknął Barwa — jedźmy panie i... niechaj tu ich kat spali! A — dodał przystając — dziewczka ta pewnie córka, bo mi mówiono, że pan Spytek córkę ma...



Urodziwa, ani słowa, zaś ja... nie gadałbym z nią.

Podniósł obiedwie ręce do góry.

— Czemużbyś nie gadał?

— Urocziwe oczy ma — poważnie odparł Barwa — złe nasłać może. Gdym w nie spojrzał, ciarki po mnie przeszły; siedzi w nich coś niedobrego.

Jaszko się śmiał.

— Śmieście się, panie, a ja swego nie odstąpię. Czarownica jest, jakim ja oto chrześcijanin. Widziałem oczów wiele, a takie... pierwszy raz.

We dworze czekał na Jaszka Spytek, ubrany już, z rannym posiłkiem. Powitał wchodzącego żartobliwie.

— Musicie coś na sercu mieć, skoroście tak rano wstali? Przyznajcie się.

— Nie miałem do dziś — odparł równie wesoło Jaszko — ale nie ręczę, czy od dzisiaj mieć nie będę.

— No?

— Widziałem dziewczkę waszą. Zaprawdę... osobiwej urody.

Spoważniał Spytek, ale wnet śmiejąc się, rzekł:

— Pono urodziwa jest, przynajmniej dla mnie. Jenó swywolna, płochliwa i dziwnie do ludzi śmiała.

— I z tem jej przewybornie! — podchwy-

cił Jaszko.—Dziewka istna malina; krasna, jak żadna.

— Nie chwalcie, bo przechwalicie — krotchwilił Spytek. — Niewarta jest zbytcej chwalby.

— Właśnie, żem warta — zadzwieczał głosik Halki, która pod ten czas do izby weszła.. — Wojewodzie prawdę mówi, a wy, rodzicu, nie przeczcie. Co mi brak, spojrzycie, proszę? Znajdźcież podobną.

Okrecała się wkoło, szczebiocząc, a pięknie jej z tem było zaiste.

Była już ubrana skromnie, bez kolec i łańcuchów złotych — w prostej sukience, z wianuszkim rozmarynu na głowie, z włosami w kosy ujętemi.

— Swywolnico jedna — fukał niby Spytek — nie mogłażes siedzieć u siebie? Wojewodzica chciało ci się obaczyć...

— A chciało — odparła. — Chciałam go obaczyć, bo rycerski jest i gładki.

— Cicho mi bądź ty — przerwał Spytek.— Bacz, co gość o tobie pomyśli.

— Jedno mi, co pomyśli. Jakam zawdy, taką ostanę. Zmieniać się nie mogę. A żem tu przyszła? Dobrze choć raz na lata obcego obaczyć. Albow mniszka?

Przysiadła się do stołu i jadła wraz z nimi, trzepocząc raz po raz.

— No i patrzajcież — mówił Spytek —



słyszana to rzecz, aby dziewczka tak wszystkim za nic miała? Ona tu rządzi, a ja słuchać muszę. Jedynaczka, z tem całą bieda.

— Chętniebym się takim rządowi poddał — rzekł wojewodzie. — Do skonu pragnąłbym mieć taką panią.

— To weźcież mnie, a mieć będziecie — wtrąciła Halka.

Spytek aż się z ławy porwał.

— Dziewko, przestań swywoli! — zawołał napół groźnie. — Bacz na przystojność!

— Powtarzacie zawdy jedno — zadąsała się Halka. — Cóż złego mówię albo czynię? Niechaj pan Jaszko osądzi.

— Z wami trzymam i trzymać będę, chociażbym się na gniew rodzica waszego naraził — rzekł Jaszko. — Jeno pomnijcie, że nawykłem słowa uważać nie żartem.

— Albo co? — spytała.

— Przed chwiląście mówili, iżbym was wziął... nuż za słowo chwycę?

Halka spojrzała na niego, przemilczała — ramionami poruszyła.

— Chociażbyście i wzięli, co z tego? — spytała.

— Byłabyś moją wtedy — mówił Jaszko żartobliwie.

— I dobrzeby mi było — rozśmiała się. — Myślicie, żebym przeczyła? Popróbujcie.

— Ejże... nie znasz mnie dziewczko! Inny

jestem napozór, a inny w rzeczy; srodzebyś żałowała.

Na to Halka, dłonią kiwając:

— Dałabym sobie z wami radę, obaczylibyście. Niejeden rycerz słuchać musi podwinki. Z wrogiem poradzicie łącno, ale ze mną... nie. I jam insza napozór, a w rzeczy insza też.

— Sroczko ty, a zmiłknij, bo trzepiesz bez składu i ładu — przyciągnął ją Spytek do siebie. — Dobrze podczas krotochwile, ale w miarę.

— Pozwólcie, że się rozmówimy — prosił Jaszko. — Srodze mi Halka zaszła w serce.

— A widzicie! — śmiała się dziewczka.

— Więcbyś się mnie nie lękała?

— Miałabym też czego? Gładcy jesteście, rycerscy, więcbym się za was nie powstydziała. I świataby użyła, i życia pokosztowała. Do Borowic jużbym za nic nie wróciła.

— A ojciec stary? — zagadnął Spytek napół żartobliwie, napół poważnie. — Miałabyś serce go ostawić w samotnictwie, porzucić na resztę dni, pozwolić, iżby mu obca ręka oczy na sen wiekuisty zamknęła?

— Do tegoby nie przyszło, rodzicu miły — zarzucając mu ręce na szyję i tuląc się do niego, zawołała Halka. — Przecież moglibyście razem z nami siedzieć i szczęściem naszym się cieszyć. Dostyc już tego pustelnicstwa.



Łza w oku Spytki zabłysła, westchnął.

— Łatwo ci to mówić, jagodo, ano nie dziw, że tak roisz — rzekł smutnie. — Od tego młodość, żebyś rojenia słoneczne przędła i snuła, dopóki cierni i głógów w życiu nie napotka...

— Cierni i głógów? — żywo podchwyciła Halka. — Alboż to już takie przeznaczenie każdego, żeby od niego szczęście stroniło?

— Szczęścia pono niema na świecie — szepnął Spytek.

— Ejże, mościwy Spytku — wtrącił Jaszko — czarno na rzeczy patrzycie, a mniemam, że to niesłusznie. Bywa różnie, wszakże grzechem nie jest chyba o szczęściu roić i spodziewać go się. Nie każdemu ono sądzone, ale nie każdemu też czarna przeznaczona dola. Raczej grzechem jest truć się przedwcześnie i bez przyczyny.

— Bo i prawda! — potaknęła Halka. — Wola Boża we wszystkim, a pożądać szczęścia każdemu wolno.

— Młodość! Młodość! — uśmiechnął się gorzko Spytek. — Nie będę się jednak z wami przepierał, ostańcie przy swoim. Daj Bóg, iżbyście się w rojeniach nie zawiedli.

To rzekłszy, na inne sprawy rozmowę zwrócił.

Nie kleiła się jednak. Jaszko mu odpowiadał wprawdzie, lecz mówiąc, wciąż oczy

miał zwrócone na piękną dziewczkę, która raz po raz z jakimś figlikiem występowała, nie zważając na napomnienia rodzica, pewna bezkarności.

Wreszcie około południa opuścił Jaszko Borowice, a trzeba powiedzieć, że ciężko mu było odjechać. Pan Spytek pożegnał go serdecznie, nadmieniając:

— A jeśli wam kiedykolwiek tędy droga wypadnie, nie zaniechajcie wstąpić na odpoczynek. Rad wam będę zawsze.

— A wy, Halko? — zapytał Jaszko dziewczki.

— Dowiedzie się, skoro przyjedziecie — odparła.

— Marne to zaprosiny...

— Nienasytek z was, wojewodzicu. Dać wam krużę, to wy zaraz po cały dzban sięgacie.

Roześmieli się oboje.

— Ano... dziwu w tem niema, że miód radby człek pełną miarą czerpać.

— Niebezpieczna to. O głowie pamiętać trza.

— Na wszystko macie słowo. Żegnajcie i w pamięci raczcie mnie swej zachować. Ja również nie zapomnę...

— Czego?

— I was, i tego, coście mówili...

Tak się oto rozstali.



Halka długo z wałów grodka poglądała za odjeżdżającym gościem, który też raz po raz po za siebie pozierał, dopóki mu drzewa nie zasłoniły uroczej postaci pięknej Spytkówny.

---

### III

W stronę połaci zamkowej, przez matkę księcia plockiego Wacława (Wańkiem pospolicie zwanego) Annę zamieszkałą, spieszył człeczyna opasły, krótki, suknią zakonną przyodziany. Oczyma rzucał na wsze strony, jak gdyby nie chcąc być spostrzeżonym. Twarz kapturem osłonił, głowę między zamiona wcisnął, a stąpał pospiesznie, na ile mu tusza pozwalała.

Drogę znał dobrze, nie pierwszy raz snąć bywał tutaj, bo chociaż pora była późna, nie zastanawiał się, ani pytał kogo. Stanawszy w sieni, kaptur odrzucił, do komnat wszedł śmiało i pewnie, a zastępującej mu służbie jedno ręką skinął. Ustępowano mu też natychmiast.

Twarz mnicha napozór niczem osobliwem uwagi nie zwracała. Do tuszy zastosowana, więc krągła, niby odęta, na niej nos płaski z szeroko rozwartymi nozdrzami, usta wywi-

nięte, grube mięsiste, sinawej barwy, pod wazkiem czołem para oczu migotała, często nakrywanych czerwonymi i nieco obrzmiałemi powiekami. Włos, strzyżony krótko, jeno kępami sterczał na głowie...

Był to O. Wincenty, spowiednik księżnej matki i powiernik jej najzaufańszy. Słynął jako niezwykle rozumny, przebiegły, zdolny do przeprowadzenia najtrudniejszej sprawy. Krył w swej niepozornej postaci zdolności wielkie... Pokorny, serdecznie uśmiechnięty, dobroduszny, każdemu z drogi ustępujący, był przecież ważną figurą na dworze Wacława. Pod suknią benedyktyńskiego mnicha, taił się nielada dyplomata. Nic się bez jego wiadomości na dworze książęcym nie działo, kroku nie można było zrobić, nie będąc przez O. spowiednika spostrzeżonym. Tyle niemal znaczył, ile sam Wacław.

Do komnaty wszedłszy, siadł na ławie, głowę opuścił i czekał.

Mieszkanie księżnej matki dziwnie skromnie się przedstawiało. Izba wysoka, łukowato skiepiąca, okna miała dwa wąskie, kratami zaplecione, sprzęt powszedni, z ław prostych i stołu się składający. Na ścianach figury świętych wisiały to rzeźbione w drzewie, to malowane umiejętnie na płótnie, to z kruszców drogich odlane — pod niemi klęcznik



czarny. Więcej przypominała celę klasztorną, aniżeli mieszkanie dostojnej pani.

O. spowiednik niedługo czekał; nadeszła rychle księżna, krokiem spieszonym, jakim zwykle na spotkanie oczekiwanych gości się dąży.

Księżna matka — podeszłego już wieku niewiasta — trzymała się prosto, nie poddając latom. Suknia na niej powłóczysta, ciemnej barwy, bez żadnych kosztownych odób. Na piersiach krzyż wisiał i relikwiarzyk ze świętego miejsca przywieziony, krzyżyk mniejszy u przepaski, obejmującej kibić. Spojrzawszy w tę twarz bladą, wychudłą, kościłą a pomarszczoną, mimowoli dreszcz przejmował. Istny typ ascety, spędzającego całe życie na modlitwie, o świecie zapomniawszy. Krwi ani znaku na policzkach, jakby do martwej istoty należały... Jeno oczy blaskiem nadzwyczajnym błyszcząły.

Twarcz ta pozwalała odgadywać charakter śmiały, nieugięty, nie poddający się ludziom ani okolicznościom.

Córka Przemysława III Ottokara czeskiego przeznaczony miała w istocie żywot klasztorny. W klasztorze też przebyła najpiękniejsze lata dziewicze, aż Bolesław mazowiecki za żonę ją pojął. Przecież pobyt w klasztorze wywarł na jej usposobienie wpływ, którego ani mąż, ani zmiana stanowiska zniszczyć nie

zdołały. Była przykładną, pokorną, uległą małżonką — ale po za temi obowiązkami, nie istniało dla niej nic nad praktyki religijne, którym się całą duszą oddawała. Nie wymagała od nikogo nic, zawsze zamknięta w sobie, milcząca na wszystko, obojętna. Po śmierci męża dopiero zmieniło się jej usposobienie. Zamieszkawszy przy najmłodszym synu, postanowiła mu być radą i pomocą. Wacław w samej rzeczy kierownika potrzebował. Acz nie młodzik, charakter miał porywczy, gwałtowny, nieokiełznany, niezdolny do głębszych zastanowień. Ulubieniec ten macierzy wcale na rządcę kraju stworzonym nie był. Ambitny, zarozumiały, władzy chciwy, nie zważający na nic, gdy sobie co postanowił... Krew w nim Konrada-Czarta grała, krew do niemożebności popychająca, gdy szło o zyskanie władzy i jej ponętnych blasków.

Na widok wchodzącej Anny, O. Wincen-ty wstał z głębokim pokłonem.

— Oznajmiono mi was, Ojczy, niespodzianie — poczęła Anna, niespokojnym wzrokiem badając mnicha. — Przychodzicie snąć z czemś ważnem? Mówcie.

Ojciec spowiednik zajął wskazane miejsce, chrząknął i rzekł przemilczawszy:

— Przychodzę w *naszej* sprawie.

Słowa ostatnie wymówił z naciskiem.

Brwi księżnej matki ściągnęły się.



— Więc? — spytała.

— Gości mamy, pani miłościwa. Zjechali do nas komtur Oskar v. Streichen i... — tu mnich głos zniżył — Holubek z Pragi.

Księżna zadrżała lekko, wyraz szczerej radości przemknął po zwiędłej jej twarzy, lecz znikł natychmiast.

— Więcej nikogo? — spytała.

— Nikogo — odparł O. spowiednik. — Po cóżby kto więcej miał zjeżdżać.

I spojrzał w oczy księżnej znacząco.

— Po cóżby kto więcej miał przyjeżdżać — powtórzył — jeżeli oni wszystko, co potrzeba, przywożą.

— Mówcie wyraźniej, Ojcie — przerwała niecierpliwie Anna.

— Czy nie wyraźnie mówię? — uśmiechnął się mnich. — Przywożą wszystko.

— A listy?

— Są. Jan najchętniej pomoc przyrzeka i wielki mistrz też.

— Pewnie? — podchwyciła żywo księżna matka.

— Bez wszelkich wzdragań. Krakowski on królik łokciowy nadto sobie pozwala. Trzeba mu rogów przytrzeć póki czas.

— Trzeba — potwierdziła Anna stanowczo. — Trzeba póki czas... bo już dziś ma siłę do zbytku.

— A warunki? — dodała po chwili. — Jakież warunki stawiają?

— Warunki... — mruknął przeciągle O. spowiednik.

— Nie spodziewam się ze strony Luksemburczyka pomocy bezinteresownej — rzekła Anna. — Jan czeski jest nieodrodnym synem cesarza niemieckiego i króla rzymskiego. Pły nie w nim krew nieprzyjaciół czeskiego narodu. Znam ja ich.

— Jak dzisiaj, Jan o warunkach nie wspomina — przerwał mnich.

— Gdzież listy owe?

— Listy należy oddać miłościwemu panu nietknięte... Król czeski, Jan Luksemburczyk, działa we własnym interesie spiesząc nam z pomocą. Idzie mu o odzyskanie praw do korony polskiej, którą sobie Łoktek przywłaszcza, chociaż *kto inny* ma do niej słuszniesze prawa. Nadarza mu się sposobność napozór złota — sprzymierzeniec w panu naszym... Krzyżowi rycerze łączą się ochotnie, będąc zagrożeni. Łokieć im się się we znaki dał, a srodze się stać dla nich może niebezpiecznym, skoro się na dobre w Krakowie usadowi.

— Jan bez korzyści nie nawykł ręki nikomu podawać — półgłosem rzekła Anna.

O. Wincenty się uśmiechnął.

— Chociażby i tak było — szepnął słod-



ko. — Sprzymierzeńcami jego będziemy do czasu.

— Oby nadszedł ten czas! — szepnęła Anna — oby jak najprędzej!

— Nadejdzie — pewno i stanowczo rzekł mnich.

— A wtenczas... — zawołała księżna z uniesieniem — naród mój nie będzie jęczał pod jarzmem niemieckiem. Praga... Praga złota moja odzyska wolność!

— Amen! — dokończył O. Wincenty z namaszczeniem, ręce do góry wznosząc.

Nastąpiła chwila milczenia uroczystego. Anna osunęła się na klęcznik, ukryła twarz w dłonie i zatoneła w gorącej modlitwie. O. Wincenty stał naprzeciw, z rękoma na piersiach skrzyżowanymi.

— Pani miłościwa — rzekł po niej jakim czasie — powiedziawszy, co należy, resztę waszej rozprawki zostawiam.

— Bądźcież pewni Ojczy, że sprawa ta dla mnie po dwakroć jest świętą.

— Trzeba działać ostrożnie. Ludzie już coś wiedzą, a nie wszystkim się ona jednako przedstawia. Wojewoda Andrzej, syn jego, biskup, w głos nasze zabiegi potępiają... Litwa odgraża się pocichu, a szpiegów Łoktka pełno u nas.

— Mimo to mam nadzieję pomyślnego skutku — rzekła Anna. — Pomoc Boga z nami.

— Jego opiece i ja też w modlitwach za myśli nasze polecam.

Pożegnawszy księżnę, wysunął się mnich z komnaty.

W dziedzińcu ludzie się snuli gromadkami, pora jednak spóźniona nie pozwalała ich rozpoznać. O. spowiednik szedł, omijając naprzeciw idących. Już był niopodał bramy zamkowej, gdy tuż za sobą usłyszał dziwny jakiś głos, pianie koguta naśladujący.

O. spowiednik mruknął niechętnie, sapnął, nie obejrawszy się, chciał iść dalej, aliści natręt drogę mu zagroził.

Był to osobliwy człeczek, wzrostu pacholęcia, chudy, smagły, a już niemłody. Ubrany w kuse suknie, z pasów różnobarwnej materii zszyte, trójkątną czapeczkę, suto dzwonekami obwieszoną; w rękę trzymał proporczyk również w brzękadła opatrzony. Zwał się Proca, piastował zaś urząd błazna książęcego, — urząd, bez którego żaden możniejszy dwór podówczas się nie mógł obejść.

— Skądże to, Ojczuniu? — pisał ka-rzeł. — Skąd wracacie?

— Ustąp precz, błaznie! — mruknął O. Wincenty.

Ale Proca za suknie go chwycił.

— Ojczy wielebny — gadał żałośnie — w niełaskę u was popadł?! Słowem mnie obdarzyć nie chcecie... hi! hi!



I płacz udawał.

— Ojciec wielbny — począł nagle — żał mi serce ściska, ale wy do gości idziecie. A goście jacy... — ho, ho!

— A ty... — szepnął mnich, zatrzymując się mimowoli.

— Skąd wiem? — roześmiał się karzeł.— Oj, święty człowiecze... więcej ja wiem, niż niejeden z mnichów, chociaż na księgach nie czytam.

Wzruszył ramionami O. Wincenty, wyrwał suknie z rąk błazna i szedł dalej.

— A spieszcie się, spieszcie! — wrzeszczał za nim błazen. — Spieszcie, Ojcusiu, po niemieckie złotko! Jedno warujcie się, by was niecnoty nie otumanily. Z Niemcami zdradno!

Mnich przystanął, odwrócił się, lecz błazen znikł.

Proca nie należał do pospolitych błaznów; urząd swój sprawował kilka dziesiątków lat, jeszcze za Wacławowego ojca, Bolesława. Dziś, starzec prawie, mimo to nie postradał dowcipu. A ten jego dowcip nie był płaskim, jak innych; w słowach karła zawdy myśl się kryła głębsza, jeno nie każdy jej dopatrył.

Bano się go powszechnie, jak ognia i nie śmiano mu dokuczać. Wiedział każdy, że wyzywać go niebezpiecznie. Księżciu samemu takie nieraz słowa wygadywał, że innemu nie

uszłoby coś podobnego. Wańko, choć wściekłość go porywała, przebaczał mu, udając, że nie zważa na to.

Czasami plótl żarty tak pocieszne, że boki trza było zrywać od śmiechu, — innym razem słowa od niego nie wydobyłeś. Siedział wtedy nachmurzony, jak noc jesienna, z miejsca się nie ruszając.

Gdy mnicha widać już nie było, wysunął się Proca z po za węgła.

— Poczekaj niecnoto! — mruczał. — Doigrasz ty się, doigrasz, a bodaj niedługo.

Wsunawszy proporczyk pod pachę, a ręce za pasik zatknawszy, wybiegł z zamku.

Miasto jeszcze nie spało. Przez szpary zasów okiennych migotały blaski światel, dołatywał gwar, nawet niekiedy tony pieśni wesołych, chociażby pod owe czasy płacz więcej przystał, aniżeli wesele.

Błazen, zasłyszawszy to, wzrok chmurzył i zęby ścinał, grożąc półgłosem.

— A ty gdzie, błaznie? — wrzasnął mu nad uchem głos z tyłu. — Siedzieć tobie w domu i panów śmieszyć.

— Zastąp mnie ty — odparł Proca, poznawszy Barwę.

— Jam przecież nie błazen.

— Spróbuj, może nim być potrafisz.

— Ktoby cię przegadał — roześmiał się Barwa. — Powiedz oto, gdzie idziesz?



— A ty?

— Ja gardziel odwilżyć, bom zdrożony.

— No to i mnie się należy, bo mi zaschła, gadając z tobą.

— Do Łukasza?

— Niechaj do Łukasza.

Szli razem.

Wiecha Łukasza nieopodał wików targowych stała — rychło się do niej dostali, przy stole zasiedli, zawoławszy chłopca służebnego.

— A kto płaci? — spytał Barwa.

— Jużci nie ja. Kuso u mnie, towarzyszu, jak z suknią, tak z trzosem — odparł Proca.

— Kat cię bierz. Znaj błaznie pana! — rzekł Barwa, poczem do chłopca się zwrócił:

— Słysz ty... piwa nam dał, ino chmielnego.

Chłopak się zwinął — kompanowie kubki napełnili.

— Z panem Jaszkiem jesteś? — zagadnął błazen.

— A z nim. Czyżby się beze mnie gdzie ruszył? — potaknął Barwa, wasy z piany ocierając garścią.

— Skąd i dokąd?

— Z Raczyn ciechanowskich do Otolinka.

— Pod fartuszek mamusin? — uśmiechnął się Proca.

— Ot! — ręką machnął Barwa. — Alboż Jaszko na miejscu usiedzi? Z kąta w kąt się włóczy, guza szukając. Samowtór ze mną w takie czasy... A umyślnie lasami jechał, iżby lotrzyków nie spotkać.

— Sam tedy jechał?

— Jakto sam? Powiadam tobie, że ze mną.

— Więc jednego łotra zawdy miał przy sobie.

— Gdyby go nie miał, dziśby wilcy dogryzali jego kości.

— No?

— Klnę się na patrona mego, że prawda.

— Po co się klniesz, gdy ci nie przeczę?

— Ejże błaznie... bo nic nie powiem.

— Mów, jeno wprzód o piwo zawołaj — zauważył Proca. — Tego do końca nie starczy.

— Żebyś wiedział, że zawołam; znaj pana błaznie!

— Znasz mnie przecież oddawna.

— Otóż — sapnął Barwa — lasamiśmy jechali, na Opatrzność się zdawszy. Strawa... ledwie jak dla dzieciaka, w miechu na pokrępienie kilka kropel wszystkiego; omal na drazgę nie wyschłem sosnową.

Piwem popił.



— Już pod Płockiem... słyszymy krzyki. Mój Jaszko (on do tego jedyny) pędzi tam, skąd szły. — Z pomocą iść trza — mówi — bo łotry znęcają się nad kimś. — Dobryś — myśle — będziemy się mieć z pyszna. — Dojeżdżamy przed gródek jakiś, naokoło którego ludu zbrojnego moc. Łotry to byli, chcący złupić gródek. Skoro nas zoczą... jak pszczoły na miód na nas. W imię Ojca i Syna, powiadam, poleć duszę, Barwo, patronowi swemu, boś przepadł. A była łotrów gromada — nie kłamiąc — ze sześć dziesiątków.

— Ujmij z pięć — wtrącił Proca.

— Poręczam ci, że sześć co najmniej. Osaczyl nas tak, że ruszać się nie można, i prą i gniotą... Jaszko do mnie: — Barwa, trzymaj się! — Ja zaś nic nie mówiąc, jak konia nie zepnę dębem, jak nie osadzę potem... Pod kopytami czterech padło. Luz się trochę zrobił, i...

— Drapnąłeś?

— Gdzie zaś. Miecz w jedną garść, topór w drugą — to mówiąc Barwa dzban i kubek pochwycił — jak nie machnę raz... jak nie machnę drugi... jak nie osadzę... powiadam ci, błaznie, dziesiątek padł od razu.

— Nie żarty! — drwił Proca.

— Ba! nie koniec na tem — zapaliwszy się prawil Barwa — Widzę... przede mną niema nikogo, rozpierzchli się. Patrzę za siebie — pań Jaszko ledwie żyw. Chcę do niego z po-

mocą, a tu mnie z tyłu ktoś obuchem po łbie. Z koniam spadł, alem się zdążył w czas podnieść i drzewa dopaść. Ci za mną...

— Toż popij nieboże, bo im nie podobasz — przerwał Proca.

— Owo nieprawda. Opadło mnie tałajstwo, wrzeszcza, jak nieboskie stworzenia, ja nic, jeno to toporem, to mieczem, aż prze-połowiłem gromadę. Dopieroż widząc, że nie przelewki, ustąpiła reszta.

— I nie zabito cię?

— Ano widzisz.

— Gdzież się to działo?

— Pod Borowicami. Ba! O tych Borowicach ciekawa historia. Jakaż bo tam dziewczka... hm!

Oczy przymrużył.

— Czyjeż Borowice owe? — spytał Proca.

— Spytką jakiegoś. Dziwna to, powtarzam, historia. Nikt tego człowieka nie zna, nawet służba własna.

— A dziewczka?

— Jego córka? Halka na nią woła. No... dziewczka — nie widziałem równej. Jeno miary tej oto piwa nie dałbym, że... czarownica. Ślepie ma takie, że gdy niemi popatrzy, człowiek głupieje, jak pień.

W tej chwili do błazna zbliżył się człek



niepozorny, lichy odziany i szepnął mu na ucho:

— U Hansa Żółtego.

— Dobrze wiesz? — również cicho spytał Proca.

— Do drwi ich odprowadziłem.

— Żal iść, ale muszę — ozwał się błazen w głos do Barwy. — Dopowiesz mi innym razem. Jeny skoroś ocalał przed łotrami, bacz, byś nie legł od piwska.

Kiwnął głową zdziwionemu Barwie i wraz z nieznanym wyszli razem z szynkowni.

---

#### IV

W jednym z najzacisniejszych kątów podzamcza stał niepozorny dworek, opasany częstokołem wysokim, w którym jedno tylko spostrzegać się dawało wejście. Dworek opodał innych się odsunął, jakby umyślnie styczności z życiem unikając. Rzadko też kto około niego przechodził, rzadziej jeszcze otwierała się ciężka, pasami żelaznemi spojona furta, a w niej pojawiali się wychodzący lub wchodzący ludzie. Bywały dni, że dworek pustym zupełnie się wydawał. Cisza w nim panowała, bez znaku żywej istoty. A przecież

był od wielu lat zamieszkały. Wybudował go niejaki Pietrzyk, mieszczanin, człowiek nie cieszący się u ludzi wielką miłością. Małomówny, surowego wejrzenia, szorstki, osiadłszy we dworku, prawie z niego nie wyzierał. Przy sobie miał żonę i (jak opowiadał) krewniaczkę jakąś... Ludzie prawili, że za krewniaczkę ową niewiastę jeno udawał i prawili słusznie.

Tego wieczora, gdy księżna Anna potajemną rozmowę z O. Wincentym prowadziła, w jednej z izb dworka, na podziw bogato przybranej, siedział Pietrzyk i ona rzekoma krewniaczka. O ile pierwszy swą suchą, pomarszczoną twarzą, półotwartymi oczyma i ściągniętymi ustami ludzi nieprzyjemnem uczuciem przejmował, o tyle druga przykuwała do siebie oczy. Byłaż to niewiasta acz nie wiosennych lat, lecz osobiwie piękna. Wysoka, kształtna, miała w sobie coś dziwnie uroczego, majestatycznego. Błada twarz, jakby znękana, dodawała jej więcej jeszcze powabu. Z oczu wielkich, błękitnych strzelały światła gwiazdziste, wywierając na patrzących w nie moc czaru tajemniczego; z ust, wykrojonych zgrabnie, płynęły słowa łagodnie, słodko, tak, że wsłuchawszy się, wiekibyś rad słuchać. Miała na sobie suknie krojem niemieckim, bez ozdób błyszczących, powłóczyste, chociaż przybranie izby dostatek aż do zbyt-



ku dochodzący wskazywało. Makaty ściany pokrywały, kobierce, na Wschodzie tkane, stoły i ławy zaścielały. Tam i sam porozkładane zapony, pierścienie, kolce, zausznicze rzucaly snopy blasków, — zgoła bogactwo i możliwość z każdego przezierały kąta.

Mimo tego dostatku, mimo piękności, niewiasta smutną była. Na twarzy jakieś zniechęcenie przebijało, pragnienie tajone... żal wewnętrzny. Często w tych oczach błękitnych pojawiały się blaski, jakoby bezsilnego gniewu.

Zwano ową niewiastę Zozulą, a była miłośnicą księcia Wacława... Księżę do szaleństwa był jej oddanym. Skąd ją wziął... różnie opowiadano. Jedni — że z klasztoru ją porwał; inni, że mu ją Krzyżacy podsunęli; inni znowu, że przemocą z domu męża ją uwiódł. To jedno wiedziano pewnie, że przed laty Pietrzyk wybudował ten dworek, do którego wprowadził zaraz rzekomą krewniczkę. Do dworaka, prócz Pietrzyka, żony jego, księcia i Zaręby, poufnego dworzanina, nikt nie miał wstępu. Nikt nie śmiał wejść do tego tajemniczego ustronia, lękając się gniewu Wańki, którego nie darmo Srogim nazwano.

Księżna Anna, duchowni i poważniejsi z panów rady, próbowali księcia od tej nieprzystojnej miłości odsunąć, przedstawiali mu, że go ona w oczach poddanych poniża, że

przykład zły sieje... ale wszelkie te rady i napomnienia Wańko zbywał śmiechem z początku, następnie powstał surowo i zagroził komukolwiek do spraw swoich osobistych się wtrącać.

Wspomnianego wieczora Wańko się Pietrzykowi zapowiedział, oczekiwano więc na niego.

Pietrzyk, któremu nakazane było strzedz Zozuli od oczu ludzkich i jakiegobądź krzywdy, zauważył od pewnego czasu, że piękna niewiasta niezwykle bywa smutną. Oddany księciu, starał się o przyczynę tego wywieść, co mu się jednak nie udawało.

— Chociaż, gdy nadejdzie, bądźcie wesołą — mówił. — Doprawdy trudno wytłumaczyć, czemu tak wielkie łaski i dobrodziejstwa pana naszego przyjmujecie zimno, bez wdzięczności?

— Jakże je mam przyjmować? — z dziwnym uśmiechem rzekła Zozula.

— Wiecie sami — krótko odparł Pietrzyk. — Pan was miłuje szczerze, kto wie... gdyby nie księżna matka i panowie...

— To co? — spytała Zozula wstając.

— Gotów byłby pojąć was za żonę.

Zozula śmiechem wybuchła, urywanym, dzikim.

Chciał jeszcze coś rzecz Pietrzyk, lecz za-



stukano do furty gwałtownie, przeto szybko się porwał i pobiegł zapory odsuwać.

Patrzyła za nim Zozula z wyrazem pogardy, jak gdyby karcąc jego niewczesne odezwanie.

Niezadługo do izby wszedł mąż średniego wzrostu, krępy, o szerokich barkach. Z pod sobolowego kołpaka włos kruczy, w kędziory zwinięty, na ramiona mu spływał, okalając ciemną ramą twarz śniadą, krótką brodą zakończoną. Twarz ta nosiła wyraz dumy pańskiej, śmiałości... Z ust, nieco skrzywionych nieregularnie, zdawał się rozkaz jakiś wysuwać, nos orli, rozdęty u dołu, znamionował charakter gwałtowny, namiętny, do wszelkiej ostateczności skłonny. Na wysoko podniesionem czole nie było jeszcze zmarszczek, oczy, pełne życia, pioruny rzucały, mieniły się tysiącami iskr. Ruchy szybkie, gorączkowe, nagle, głos rozkazu pełen, donośny, szyderstwem przesiąknięty, dopełniały charakterystyki Wacława, pana na Mazowszu, syna Bolesławowego. Miał na sobie pod płaszczem, który wnet rzucił, kaftan suto złotem naszywany, z rękawami szeroko zakończonemi, podbity materią lśniącą, pas szeroki z kółek srebrnych na biodrach, przy nim mieczyk krótki, obosieczny — obcisłe spodnie i trzewiki z ostremi nosami. Podpierał się obuszkim, kutym hartownie, mogącym w razie potrzeby

za broń niebezpieczną służyć. Z szyi na piersi opuszczał się łańcuch gruby, złoty, pamiątka rodzinna, z ojca na synów przechodząca.

Chociażby go kto pierwszy raz na oczy widział, poznałby w nim ród pański, do rozkazywania nawykły. Było w nim coś przypominającego pradziada Konrada.

Wańko, acz panem całego Mazowsza nie był (bo rozpadło się ono na trzy działy po śmierci Bolesława, który najstarszemu z synów, Ziemowitowi, przeznaczył ziemie: sochaczewską z Wiskitkami, oraz wizką i ciechanowską z Nowogrodem i Nowym Dworem; średniemu, Trojdenowi; czerską, warszawską i liwską; zaś Wańkowi: płocką, wyszogrodzką i zakroczymską), chociaż tedy nie był Wańko panem całego Mazowsza, jednak za zwierzchnika nad braćmi się uważał, jako osadzony w sercu Mazowsza, prastarym grodzie, Płocku.

Bracia zwierzchnika w nim nie uznawali, lecz często ze względu na okoliczności, ulegać mu musieli.

Zrzuciwszy płaszcz, Wańko przed Zozulą stanął.

— Jakżeś ty mi dziś? Weselsza? Niechaj oczy twoje obaczę, pokaż mi je...

Za ręce ją ujął i do światła poprowadził.

— Jużście się panie dosyć w nie napa-



trzyli — rzekła. — Do tego czasu powinnyby się wam uprzykrzeć.

— Nie gadaj mi naprzekór — mówił, sadzając ją przy sobie. — Tyś dla mnie zawdy jednako umiłowana i najpiękniejsza. Wiesz o tem dobrze.

— Wiesz o tem dobrze — powtórzył chmurząc czoło — a przecież niedobrą jesteś dla mnie. Zmieniłaś się od niejakiego czasu do niepoznania, choć bez powodu.

Spuściła oczy Zozula.

— Czas wiele rzeczy zmienia — szepnęła.

— Zmienia, gdy przyczyna odpowiednia się znajdzie, ale tu czy jest? — począł Wańko. — Wszak się na mnie skarżyć nie możesz. Jednakim po dziś dzień dla ciebie, niemniej cię miłujący, jak przed laty.

Dłonią o dłoń uderzywszy — na ten znak pojawił się Pietrzyk. — Wańko pić zawołał.

Niebawem przyniósł Pietrzyk dzban wina grzanego i kubek misterny, a postawiwszy na stole, wyszedł, słowa nie rzekłszy.

— Powiedzże mi raz, ty jedna — odezwał się przepiwszy książkę — czego ci brak? Z czem ci źle? Krzywdę masz jaką, niewygodę, żal? Ano mi prawdę gadaj!

— Ni źle mi jest, ni brak mi czego, ni krzywdy nie mam — odparła.

— Z tobą oszaleć łatwo!! — zawołał książkę, brwi bardziej ściągając.

Wstał, po izbie się przeszedł.

— Słuchaj serdeczna — rzekł przystając — nie gryź ty mnie, bo ja i bez tego strapien mam dość. Otom zaszedł, by myśl odświeżyć i rozweselić, a tyś mi, jak pogrzebowa płaczka. Powiedz czemuś taka? Uprzykrzyłem ci się? Obrzydłem?

— Nie miłościwy panie — odparła cicho. — Z dobrej woli za tobą poszłam, opuszczając jego i... dzieciątko.

— Więc?

— Więc jakżebym cię miłować zaprzestała? — kończyła łagodnie, głosem, w którym brzmiał ton żalu jakiegoś.

— A przecie innąś była dawniej? — dopytywał Wańko.

— Czas wiele zmienia — powtórzyła Zozula. — I mnie też zmienił.

Łzy białą ręką otarła.

Wańko zachnął się raptownie, targnąwszy z gniewu brodę.

— Któż podobne gadanie zrozumie!! — zawołał. — Jasno mi praw, jeżeli nie chcesz, bym się z utrapienia zagryzł.

— Nie gniewajcie się, panie miłościwy — rzekła Zozula błagalnie — jam bardzo, bardzo nieszczęśliwa, ale mój frasunek nie wiem, czy ci rozumiałym się stanie, chociaż go opowiem...



Umilkła. Wańko stał przed nią w postawie wyczekującej.

— Srodem zawiniła przed Bogiem i światem, miłościwy mój panie — poczęła z cicha — przewiniłam tak, żem niegodna w dostatkach żyć i miłowaniem twojem się cieszyć. Byłam mu żoną, chociaż do niego serca nie miałam. To prawda. Ale go ukrzywdziła opuszczając, bo dobrym był dla mnie. Usłuchałam pokusy własnego serca, zapominając, że jego serce na wieki krwawie... Poszłam za wami, panie, bom się oprzeć nie mogła. Szał mnie opanował jakiś... Zapomniałam o wszystkim. I o tem, żem mu przed Bogiem przysięgała, i o dzieciątku mojem...

— Więc to żal po nim? — zawołał Wańko. Zozula milczała.

— Po nim? — zapalając się, mówił książę. — Po tylu latach, po tylu czasach? I powróciłabyś do niego, gdybyś mogła.

— Panie miłościwy, nie rozumiecie mnie, czegom się słusznie spodziewała. Jego nie miłowałam nigdy, to powtarzam wam nie wiem już który raz. Ale wszak... dzieckom została, jedyne moje dziecko, do którego serce mnie ciągnie... Dla was straciłam cześć, grzeszna miłość oślepiła mnie, otumaniła, z dobrej sprowadziła drogi. Nierychło już myśleć o...

— O powrocie? — podszeptał Wańko.

— Tak, o powrocie do niego — potwier-

dziła — ale na pokutę czas zawsze. Gdybyś mi, panie miłościwy, pozwolił, włosienicę bym wdziała i ze światem pożegnała na zawsze. A może też Bóg ulitowałby się nade mną, pozwolił przebaczenie uzyskać od niego i choć przed skonaniem raz uściskać dziecinę moją...

Przerwał jej książę gwałtownym gestem.

— Ani mi się waż o czemś podobnem wspominać! — krzyknął. — Ani mi się waż!! Dla mnie bez ciebie życia niema. Słyszysz?! Tyś moją po chwilę skonaniam i nikt prócz mnie do ciebie prawa mieć nie może... Kajać się nie masz z czego; wina moja, żeś męża i dziecko porzuciła, grzech mój. Mnichom kościół wybuduję, ziemi nadam, oni za to rozgrzeszenie dla mnie wymodlą. To ich rzecz.

A o nim i o dziecku nie myśl. Zbyszko przepadł, jak kamień w wodzie, śladu z jego gródka nie zostało. Szukałem go długo i na próżno. Dawno już kości jego w proch się rozsypały.

Łkania głośne zagłuszyły mu mowę.

— A! nie mówcie tak, panie mój, sokole mój — płakała Zozula. — Oni żyją! żyją! Dziecię moje przed śmiercią zobaczę i uściskam je. Nie odbierajcie mi tej nadziei.

— Ani słowa więcej, jeżeli nie chcesz, bym upamiętanie stracił! — zagroził jej książę. — Mogłabyś srode pożałować swych ję-



ków i wzdychań. Bądź mi wesołą, bądź pogodną, jak dawniej. Słyszysz? Ja tak chcę, ja...

I pięście obie, zacisnąwszy, do góry podniósł.

— Wiedzmo ty... — rzekł, zmieniając głos na łagodny i mięki. Na pokuszenie mnie nie wódz. Znasz, jaki jestem. O złą chwilę u mnie nietrudno, a tyś dla mnie zawdy jedna, zawdy najmilejsza.

Siadł, objął ją, przyciągnąwszy.

— Przyłgnałem do ciebie... czart wie jak — mówił. — Uroczył mnie kto, naślanie zadał... nie wiem. Dość, że moją jesteś i moją pozostać musisz. Jenó mi nie gadaj takich bredni, jak dziś.

Twarz księcia, przed chwilą wściekłością wykrzywiona, zmieniła się zupełnie. Z ócz omal, że łzy nie płynęły, a głos mu drżał ze wzruszenia.

— Dziś przyszedłem tu — rozpoczął po przestanku — jakby na pożegnanie. Ten Łokieć spokoju mi nie daje, muszę z nim raz skończyć. Wypadnie w pole ruszyć, a bez twego uścisku nie raźnieby mi było.

Na zamku gości mam, przyjmować ich i radzić z nimi muszę. Chwili czasu spocząć nie dają ludzie. Ot masz panowanie i dostojęństwo.... Tyle z tego!!

Mowę swoją przeplatał gęsto kubkami, które rozmarzać go począł widocznie.

— Jenó ty ode mnie nie uciekaj, Zozulko moja. Widzisz... skorobym zechciał, tysiące dziewczek oddałoby mi się na skinienie, a jam... wierny tobie zawdy. Obaczysz, co będzie, skoro z Łokciem skończę, obaczysz. Powiadam, — miłuj mnie i wierną bądź.

A o Zbyszku... precz z nim!! Słowem mi go nie wspominaj. Dziki ze mnie człowiek, ręczyć nie mogę, co pocznę, gdy krew zakipi...

Wyciągnął się na ławie, głowę na kolanach Zozuli położył.

— Śpiewaj no, może przysnę nieco — rzekł.

Posłuszna rozkazowi, śpiewać poczęła Zozula jedną z popularniejszych podówczas pieśni, opowiadającą zwycięską wyprawę Szczodrego do Kijowa.

Ton pieśni poważny, smętny, rychło uspił pana na Mazowszu. Spał smacznie ten despot, dłońmi miłośnicy twarz nakrzywszy.

Zozula też umilkła niebawem, westchnęła, oczy w ziemię utkwiała, puszczając wodze myślom.

Nieszczęśliwa to była niewiasta. Uboga mieszcanka ze Śląska, zaślubioną została możnemu ziemianinowi mazowieckiemu, Zbyszskowi ze Skrzypna, który się w niej rozmiłował wielce. Ona go nie kochała, uległa woli rodziców, ulegała następnie mężowi, jak służka panu swemu. Wszelkie starania Zbyszka,



aby pozyskać serce żony, nie odniosły skutku. Ono serce milczało... Traf zdarzył, że Wańko na polowaniu w Skrzypnie bawiąc, dojrzał piękną donię. Olśniła go młoda Zbyszkowa z piewszego wejrzenia, zachwyciła. Krewki pan namiętności folgować nie umiał, postanowił ją posiąść. Udało mu się to łatwo. Zozuła, majestatem dostojeństwa oczarowana, oddała mu się bez wahania. Na jedno jego słowo, opuściła dom, męża i czteroletnie dziecko.

Wiele lat przeżyła Zbyszkowa pod dachem Pietrzyka, oddawszy się księciu bez pamięci na wszystko. Z początku zdawało jej się, że jest szczęśliwą, że go istotnie kocha. I kochała go, lecz ową miłością namiętną, która niby ogień trawi serce ludzkie i niby ogień prędzej lub później gaśnie. Jakoż z czasem miłość jej stygnąć poczęła, aż i znikła zupełnie. Przyczyniła się do tego i samotność, która ją otaczała. Umysł, oddany kontemplacyom, jak zwykle dzieje się w takich razach, wynalazł sobie cel pewien. W Zbyszkowej odezwało się uczucie macierzyńskie, a z niem zarazem pojęcie występku, jakiego się dopuściła. Nic dziwnego, że pojęcie to z każdym dniem rozwijało się, uzasadniało, sprowadzając za sobą przekonanie potrzeby zadosyćuczynienia. Czuła Zbyszkowa, że ukrzywdziła męża, że winna jest przed nim wielce, czuła potrzebę pokuty. Długi czas ukrywała się

z tem, obawiając gniewu Wańka, którego gwałtowny charakter dobrze znała. Aż wreszcie zdradziła się bezwiednie prawie, wyśpowiadała z gnębiącego ją strapienia.

Około północy ocknął się Wańko, porwał na nogi, rozpatrując po izbie.

— Bogdajże ciebie! — rzekł. — Pewnie świtanie rychłe?

— Jeszcze pierwsze kury nie piałły — odparła.

— Przy tobie życie można przespać — mówił książę. — Człowiek o świecie zapomina, spojrzawszy w twoje liczko, więdźmo ty... Ano — dodał, zmieniając ton głosu — iść już muszę. Bywajże mi zdrową i pamiętaj, com gadał. O Zbyszku nie myśl, durne mary z głowy wyżeń, a miłuj mnie. Jenó się z tym Łokciem uporam, srebrem i złotem cię spowiję.

Objął miłośnicę, uściskał, następnie krzyknął:

— Zaręba hej... sam tu bywaj!!

Do izby wsunął się ulubiony dworzanin pański, butnej postawy, wcale jeszcze młody, równego wieku z księciem.

— Pora li nam? — pytał Wańko.

— Sama pora — miłościwy panie — odparł Zaręba. — Właśnie chciałem wam to oznajmić.

— Płaszcz mi daj i kołpak — rozkazał książę. — Byleby ten szatan szpetnych jakich



baśni nam nie napłótl... Pamiętaj ty, bym w złość nie popadł. Uduśiłbym was obudwóch.

Pogroził Zarębie, raz jeszcze do Zbyszkowej się zwrócił, pożegnał ją skinieniem głowy i wyszedł w towarzystwie ulubieńca.

Szli ku Powiślu, zostawiając miasto po za sobą.

Noc była ciemna, choć oko wykol, a droga pełna wybojów i błota, co jawnie niecierpliwilo księcia.

— Dopóki będziesz mnie włókl? — spytał zniecierpliwiony.

— Już dochodzimy, miłościwy panie, wnet staniemy na miejscu — odparł Zaręba.

Jakoż po kilku chwilach stanęli przed niepozornym domem, wcisniętym pomiędzy dwie ściany wąskiego parowu, którego front osłaniały gęste dzikich roślin krzaki, tając go tym sposobem przed okiem ludzi. Była to ustrona dzika, posępna, tajemnicza... wiało od niej chłodem przejmującym. Prowadziła do niej ścieżyna ledwie cokolwiek znaczna, która raptownie pomiędzy krzakami ginęła, tak, że nieznający miejscowości nie domyśliłby się nieopodal istnienia siedziby ludzkiej...

Dom oryginalnie był zbudowany. Drzwi i okna wąskie, starannie opatrzone, dach płaski, murawą cały pokryty... słowem wszystko miało pozór niezwykajny.

Zaręba znać nie pierwszy raz tu bywał, bo

śmiało szedł, krokiem pewnym, jak po znajomej drodze. Znalazłszy się przed domem, złożył ręce, do ust je podniósł i huknął po trzykroć, naśladując wołanie sowy. Wewnątrz domu szmer dał się słyszeć, niebawem drzwi się naścieżają rozwarły, lecz w nich nie widać było nikogo.

— Chodźmy, miłościwy panie — szepnął Zaręba — poprowadzę was.

Po przejściu kilkudziesięciu kroków, światło zalało ciemną sień, dając możność śmielszych ruchów. Światło to biło z otwartych drzwi wnętrza mieszkania.

— To tu — szepnął Zaręba, drzwi owe wskazując. — Jesteśmy na miejscu.

Izba, do której weszli, niemniej dziwny i zagadkowy miała pozór. Nizka, pełna sprzętów niezwykłych, bez okien, ściany pozawieszane czarnymi oponami, na których srebrnymi nićmi były wyszyte znaki jakoweś. Z po za opon przezierały szafy, na środku stał stół szeroki, na którym porozstawiano bezładnie mnóstwo flaszek, czar, bań szklanych, bądź ponapełnianych różnobarwnymi płynami, bądź próżnych. Pod jedną ze ścian, w rogu, znajdował się piecyk, pełen zarzewia, z wnętrza którego od czasu do czasu wylatywały iskry, strzelając aż pod strop.

Książę rozpatrywał się z trwożliwą cie-



kawością, nie mówiąc słowa. Coś podobnego widział raz pierwszy w życiu...

— Spocznijcie, panie — odezwał się faworyt, wskazując ławę, oponą purpurową zasłaną. — On nadejdzie zaraz.

Wańko machinalnie siadł na ławie.

Niebawem z po za opon, ściany zasłaniających, wyszedł starzec z długą, białą, jak mleko, na piersi spadającą brodą, twarzą bladą, pomarszczoną, poważną. Miał na sobie odzież kroju wschodniego, pasem jedwabnym objętą, na głowie zawój z kosztownej materyi, meszty miękie na nogach. Zbliżywszy się do księcia, schylił głowę, ręce złożył na pierśsiach, witając go tym niemym ukłonem.

— Tyś Faust Turyńczyk? — spytał Wańko, wpatrując się w pochylonego wciąż starca.

— Jam jest, miłościwy i dostojny panie — odparł zapytany. — Faustem Czarnym zwa mię też inaczej.

— Powiadają, żeś w księgach biegły i przyszłość odgadywać potrafisz?

— Na Wschodzie, hen... gdzie Saraceni mieszkają, posiadałem ten kunszt. Tam, pojmany w niewolę przez pogan, wiele lat przeżyłem.

— I prawda li jest, że przyszłość każdego dla ciebie jasna?

— Jasna, jak dzień słoneczny, miłościwy panie...

— Mów mi tedy o przyszłości mojej, bacz jeno, byś słów kłamliwych do wróżby nie mieszał.

Faust skłonił głowę.

— Kłamstwo obcem mi jest, nigdy ono warg moich nie pokalało — rzekł. — Racście wierzyć, dostojny panie, że na tej mojej starej głowie nie ciąży ani jeden fałszu zarzut.

Zbliżył się do stołu, do dziwnego kształtu naczynia wrzucił garść żaru z piecyka, na który posypał proszku jakiegoś. Wnet izbę całą zapełniły kłęby białych dymów, ostrego, przenikliwego zapachu. Po nad naczyniem wspomnianem umieścił inne, czworogranne, z kryształu znać górskiego, pełne przezroczy-stego płynu.

— Spójrz tu, miłościwy panie — szepnął do księcia — patrz bacznie i racz mówić, co widzisz.

Płyn, przed chwilą przezroczysty, wręcz poczał, macić się, błękitnieć, aż nabrał fioletu fal morskich.

— Co widzisz, miłościwy panie? — ponownie rzekł Faust.

— Widzę drzew zielonych wiele — odparł Wańko — wszystkie kwitną, a kwiatu moc... Każde drzewo na oddzielnej kępie stoi, wodą otoczonej... A! kwiaty znikają... burza się zerwała i pomiata gałęzmi... Pioruny biją



jeden za drugim... drzewa padają, jedno tylko stoi nieporuszenie...

— Widziałeś, miłościwy panie — mówił Faust z namaszczeniem — przyszłość kraju swego. Rozdarty on dziś na kęsy, każdy kęs innego ma pana. I jakoś widział burzę, łamiącą gałęzie drzew, a pioruny walące je, tak dziś burza panuje w kraju twoim, boć pan każdego kęsa drze się w górę, byle osiągnąć najwięcej władzy. Ale długo to nie potrwa. Blizki jest czas, gdy rozszarpany dziś kraj w jedność się zleje, pod jednym silnem ramieniem, w jedność trwałą, potężną.

Umilkł, do kryształowego naczynia nalał bezbarwnego płynu, zamącił srebrną laseczką, poczem gestem księciu patrzeć nakazał.

Płyn pociemniał, znowu burzyć się począł, wreszcie rozdzielił się na trzy odmiennie barwy warstwy, z których środkowa najprzód biała niby mleko, po chwili purpurową się stała.

— Krwawe będą dzieje panowania twego, miłościwy panie — tłumaczył Faust. — Wiele ofiar niewinnych padnie, przez pragnienia i żądze twoje. Kraj twój spłynie rzeką krwi, a przecież tego, czego pragniesz, nie sądzono osiąść ani tobie, ani potomności twojej.

— Kłamiesz, stary bajarzu!! — zawołał Wańko rozjątrzony. — Bredzisz, jak piastun otrokom baśnie...

— Wolna wam wiara, miłościwy panie — skłonił się Faust. — Żądaliście wiedzieć przyszłość, okazuję, jaka jest... Nie żądacie wiedzieć więcej?

— Praw! — syknął Wańko nachmurzony.

Faust wziął ze stołu inne naczynie, kształt bani mające, również przezroczyste. Umieściwszy je na trójnogu metalowym, puścił w ruch wirowy za pomocą osobliwego jakiegoś przyrządu. W bani próżnej zupełnie poczęły się okazywać pary niewyraźnej barwy, miarowo szkarłatniały, przybierając fantastyczne kształty. Księżę wpatrywał się posępny w owe dziwo, nagle pobladł, odstąpił kilka kroków, szepcząc:

— Zozula...

— Strzeż się tej postaci, którąś widział — rzekł Faust tonem surowej przestrogi. — Życie twoje, dostojny panie, jest z nią związane... Ona stać się może przyczyną...

— Przyczyną? — podchwycił Wańko.

— Przyczyną twej śmierci — dokończył starzec.

— Kłamiesz stary, kłamiesz!! — zawołał powtórnie księżę. — Tumany mi w oczy puszczasz, namówiony przez ludzi...

— Miłościwy panie — odparł Faust — pełnię waszą dostojną wolę. Objawiłem wam przyszłość, jak mi sztuka moja ją poznać dała.



Sługą jestem pokornym, rozkazu pańskiego słuchać muszę...

— Ona... ona?! — mówił do siebie Wańko. — Ona miałażby kiedykolwiek... To nie może być, nie może być!!

Nie patrząc na starca, rzucił mu garść srebrnej monety i pociągając za sobą Zarębę, wyszedł z tego czarodziejskiego przybytku.

Faust patrzył za nim z uśmiechem najwyższej pogardy.

— Dumny, nieugięty panie... — szepnął — niedługo ci marzyć o panowaniu i blasku królewskiego tronu... Zegniesz twój kark twardy, stopę ci na nim postawi ten, którego dziś za trwałego sprzymierzeńca liczysz.

## V

Wnętrze zamku płockiego nie odznaczało się przepychem ani bogactwami. Izby w nim sklepione, okna błonami w ołów ujętymi pozaciągane, sprzęt prosty, od siekiery... Jeno wtedy, gdy książę gościć miał kogo, lub rada pańów się zbierała, przyozdabiano ściany w kosztowne makaty, ławy wołókami zaścielano, pojawiały się kobierce, ozdoby od srebra i złota. To też na przyjęcie przez O. spowiednika

księżnie matce oznajmionych gości, powyciągano ze skarbca wszelkie ozdoby, aby odpowiednio po pańsku wystąpić.

Wańko dnia tego był dziwnie pochmurny; z nikim gadać nie chciał, nawet Zarębę odprawił, samotności pragnąc. Po powrocie od Fausta, resztę nocy bezsennie przepędził, tak go wróżby starego czarodzieja poruszyły.

O. spowiednik napróżno o posłuchanie poufne dopraszał, książę widzieć go, ani gadać z nim nie chciał... Wielce to zaniepokoiło mnicha, bowiem podobnej odprawy nie był zwyczajny.

Jeden Proca, na ostrzeżenie komornika pańskiego nie zważając, śmiało do książęcej sypialni się wsunął.

Wańko leżał na wygodnym tapczanie, wsparty na rękę, tuż przy nim dwa psy łowieckie, olbrzymie, o krótkiej a gładkiej sierści.

— Po co mi w oczy leziesz, błaznie? — mruknął, surowym wzrokiem mierząc śmieszka. — Won mi za drzwi, chcę być sam.

Proca za odpowiedź głową lekceważąco kiwnął, skrzyżował ręce na piersiach, stanawszy tuż naprzeciw pana.

— Cożecie się tak, miłościwy mój — rzekł — nasepili, jako oto psiska wasze, gdy im się zwierz osaczony wymknie? Morzysko was trapiło nocą?

Milczał Wańko.



— Dziwna, dziwna rzecz — ciągnął błazen. — Przy takim dniu, jak dziś, należałoby wam, panie, innym być, boć przecie goście zjechali, którzy wam stryk na gardziel łokcia przywożą, a o to się dawno dobijasz.

— Nie pójdziesz ty mi stąd? — ozwał się książę ponuro. — Radzę: dzisiaj nie próbuj mnie drażnić.

— Oho! Możecie do kogo innego w ten sposób przemawiać, ale nie do mnie — rzecze obojętnie Proca. — Dwóch nas siedzi na Płocku, ja i wy, mój miłościwy, a przyznajcie, żeśmy sobie równi. Cóżem powiedział? Gdzie zaś równi! Daleko wam do mnie. Ja, jeżeli kogo słucham, to własnego rozumu i radę innym, gdy potrzeba, od nikogo rad nie przyjmując, a wy? Wierzaj, Wańku miły, żebym mojej błazeńskiej barwy na twój kołpak książęcy nie zamienił.

Kiwał głową z politowaniem.

— Biednyś ty, Wańku.... panem cię nazywają, rzekomo czczą, kłaniają się, a istotnie uważają za pacholę, które trzeba na pasku wodzić. Biednyś Wańku-nieboże, kto nie chce, za uszy cię targa i tam prowadzi, gdzie mu się podoba. Twoja cała godność książęca nie warta ogryzionej kości.

— Zmilkniesz raz, głupcze?! — porwał się Wańko. — Powtarzam, że dziś nie do krotochwil.

— Alboż to krotochwila?—zdziwiony niby pytał błazen. — Ej, miłościwy, czujecie wy dobrze, jako mówię prawdę słuszną, jeno wam dur, którym was karmią zausznickowie, przyznać tego nie dozwala. Tak, tak... opętali was ze wszech stron zdradą, podobnie jak łotra powrozami, i prowadzą na zgubę. Biednyś mój Wańku. Ale ja tu się nad tobą lituję i płaczę, a tam goście czekają. Chodźcież, mój miłościwy, bo nuż się zniecierpliwia i na pańskość nie zważając, za kark wyciągną!

Roześmiał się gorzko, proporczykiem potrząsł i wyszedł z izby.

---

W przestronnej komnacie, kędy stolec książęcy ustawiono, zebrali się komtur Oskar v. Streichen, prawa ręka wielkiego mistrza Zakonu Krzyżackiego, Holubek, palatyn czeski, O. Wincenty, Zaręba, Andrzej wojewoda z synem Jaszkiem, Jan z Łęków podczaszy, Bartosz z Kretkowa stolnik, Niemira kasztelan, Klimenta z Ogorzelic łowczy, oraz wielu jeszcze panów dostojników świeckich i duchownych. Widać było jasno, z pierwszego zaraz wejrzenia, że pomiędzy tem zgromadzeniem panował jakiś rozstrój. Andrzej, Jaszko, Niemira i kilku innych panów mazowieckich, spoglądało na gości z nietajonym wstrę-



tem, a nawet z nienawiścią, jak się patrzy na zaciętego i nieprzejednanego wroga. Garść ta atoli stanowiła mniejszość.

Wreszcie Jakub z Tarczyna, komornik książęcy, wszedł do komnaty z łaską srebrną, godność jego oznaczającą i oznajmił przybycie pana. Niebawem też zjawił się Wańko.

Księżna matka niezwykle uczestniczyć w uroczystościach publicznych.

— Miłościwy panie — ozwał się Paweł, kanonik Kapituły Płockiej, pełniący obowiązki kanclerza, gdy Wańko miejsce swoje zajął — zjechali do nas goście, pragnący nam cześć oddać powinna.

— Koty to są, łase na cudzą słońcę, a przychodzą, by się nią pożywić — zapiszczał dziko Proca, który za siedzeniem księcia przycupnął.

Pomiędzy zebranymi około wojewody śmiechy się rozległy, książę, srodze zagniewany, ku śmieszkowi głowę zwrócił, lecz już go nie dojrzał, Proca bowiem szybko znikł w tłumie.

— Wszelki gość pożądaný jest pod dachem naszym — odparł Wańko po chwili. — Rad też witam przybyłych dzisiaj.

— Szczodroblliwość i serce wasze, miłościwy panie — rzekł Holubek — znane są powszechnie. Niechaj nam wolno będzie podziękować za łaskawe słowo...

— Przybywacie w poselstwie, słyszę — zapytał Wańko. — Cóż mi niesiecie?

— Pozdrowienie dostojnego monarchy mego, Jana króla czeskiego, wraz listami — odparł Holubek.

— Ja zaś, również pozdrowienie jego dostojności, wielkiego mistrza potężnego Zakonu, Wenera de Orsele, i listy do waszej miłości — dodał komtur Oskar.

Obadwaj z głębokim pokłonem podawali pergaminy, na bogatych poduszkach złożone.

— Wdzięcznie przyjmuję pozdrowienie wasze — mówił Wańko. — Mniemam, że i te listy równie miłą treść w sobie mieszczą. Wielebny mój — zwrócił się do ks. Pawła — raczcie nas poznać z nią.

Wezwany listy rozwinął i odczytywał zwolna.

Jak jeden, tak drugi, oświadczyły przyjaźń serdeczną dla mazowieckiego księcia, proponowały nadto zawiązanie stałego przymierza, na następujących warunkach: \*) Obydwie strony, Wacław jedna, Jan czeski i wiel-

---

\*) Ta umowa, czyli traktat, potwierdzona następnie osobistym zjazdem Wacława z wielkim mistrzem w Brodnicy, znajduje się w Archiwum Koronnem ze strony Wacława, w archiwum zaś Kapituły Płockiej ze strony drugiej. Obadwa dokumenty, barwione, noszą tytuł: *Datum in Strasburg (Brodnica) anno Domini 1326.*



ki mistrz druga, łącząc się w jeden przyjaźni i interesów związek, obowiązują się sobie przeciw jakimkolwiek napastnikom wzajemną dawać pomoc i obronę w osobach własnych i wszelkimi siłami krajowemi. Gdyby wojsko nieprzyjacielskie, na dzierżawy stron sprzymierzonych napadłszy, nie dały im się z sobą złączyć i wzajemnie posiłkować, niema być to brane za postępek nieprzyjazny i nadwyręzenie zgody. Jedna strona bez drugiej ani pokoju z nieprzyjaciółmi czynić, ani im zaczepki dawać do wojny nie będzie mogła. Jeżeliby na którą z nich wypadły z zamków nieprzyjacielskie podjazdy zbrojne, jedna drugiej obowiązana jest spieszyć z pomocą.

— Miłe mi są oświadczenia sąsiadów — rzekł książę, gdy ks. Paweł czytanie ukończył — nie omieszkam odpowiedzieć na nie stosownie. Każdy sprzymierzeniec w tym czasie drogim jest i cenionym. Mamy wspólnego wroga, który puściwszy się na bezprawia, wszystkim nam zagraża.

— Przy szczerym związku przestanie on być groźnym — szepnął O. Wincenty.

— Wobec takich okoliczności, jakie dziś zachodzą, związek musi być szczerym — odezwał się komtur. — Potrzeba daje fundament trwałości.

— Krucha to budowa, gdy szczerokość zastępuje potrzeba — zauważył ks. Paweł.

— Jawny tego dowód mamy w przeszłości — sucho i dobitnie podjął wojewoda. — Gdzie fałsz jest środkiem, a gwałt i bezprawia celem, tam wiary być nie może.

— Wojewodo, dziś gości przyjmujemy — przerwał mu Wańko — zaprzestańcie rad swoich. Na to czas mamy jutro.

— Miłościwy panie, trudno się hamować, gdy komu serce kasać gady podstępne...

Po twarzy komtura drżenie przebiegło, mimowoli za rękojeść długiego miecza ujął, ściskając ją w garści, jak gdyby dobyć chciał.

— Dosyć tych swarów! — szorstko przerwał Wańko. — Rady waszej, wojewodo, zawezwę, gdy zajdzie tego potrzeba. Nie pora na nią teraz i nie miejsce... Stolniku — dodał patrząc na Bartosza z Kretkowa — polecam wam gości. Mili mi są, zważcież, by na gościń naszą się nie uskarżali.

Na tem się skończyło posłuchanie, po którym nastąpiła uczta dla posłów.

Andrzej, Jaszko oraz szczupłe grono ich stroników udziału w niej nie brali. Posępni wyszli z komnat zamkowych, nie kryjąc uczuć nieprzyjaznych, jakimi byli przejęci dla poselstwa.

— Nowe nieszczęście! — szepnął ks. Paweł, ręce łamiąc. — Nowa bieda! Przymierze to sprowadzi klęskę niechybnie. Łokieć w siły coraz rośnie, skoro się o niem dowie... a! a!



— Fałszywe języki, przewrotne serca...— mówił wojewoda, przejęty zgrozą — dopókiż to podła zdrada niemiecka jadę swoim dręczyć nas będzie? Pohybel im, pohybel wieczna!

— Wilki w owczej skórze... Wdarli się do nas pokorni, jako służebni pacholtkowie, a dziś krwią naszą i pracą utuczeni, na karkach nam pięście swe kładą — narzekał Niemira.

— Gdyby żył Bolko... hej! inaczejby rzeczy stały — podjął wojewoda. — I on się z początku do Krakowa dał, i jemu się marzyła korona Chrobrego, aliści upamiętał się i z Łokciem sprzymierzył.

— Łokieć dzisiejszego przymierza nie podaruje. Serce sobie zakrwawi, a dumnego Wańkę upokorzy...

— Upokorzy z naszą szkodą — dodał Jaszko.

— Nie wina jest Wańki, że się z Niemcami i Czechami brata — wtrącił ks. Paweł. — Prawda, krew w nim niepomiarowana gra, z rodu wyrósł panowania chciwy, lecz inne przyczyny do zguby go popychają; gdyby nie one...

Westchnął.

— Księżna stara o krakowskim stolcu marzy i o koronie czeskiej — odezwał się po chwili. — Przekonaną jest, że syna jako monarchę dwóch państw zobaczy. To samo na-

szeptują księciu kupni przez Niemców zausznickowie...

— O. Wincenty... — szepnął Jaszko.

— Niegodny sukni, którą nosi — z ubolewaniem mówił ks. Paweł. — Splamił ją, skalał, zbrukał... Ale niejedną on niemieckiej hydrze się wystuguje... Są inni, są... i wielu ich...

— Przymierza tego nie dopuścić! — przerwał milczący dotąd Klimenta z Ogorzelic. — Sprzeciwić się otwarcie, stanąć ławą i wręcz zdrajców wytknąć...

— A gdzież dziś jedności szukać? — jęknął Niemira. — Niemiec, psiajucha, do brze uprawił rolę, zanim do siewu ziarna się zabrał. Wyrosło mu też zboże w plon bogate, jeno brać a żać.

— Biedny, nieszczęśliwy kraj! — rzekł Andrzej. — Ot, co przyniosła owa przyjaźń niemiecka...

— Ja radzę zebrać się gromadnie, kogo można, kto Ojczyznę miłuje, do księcia iść i jasno mu wyłożyć sprawę — powtórzył Klimenta. — Wielebny pasterz nasz trzyma z nami i głosu swego nam nie odmówi. Sprawa święta, o ratunek jęczącego w niedoli kraju wszak idzie.

— Na nic rada wasza — zaprzeczył wojewoda — znacie dobrze księcia. Opór go rozdrażni, rozjątrzy i twardszym uczyni. Posadzą nas o knowanie, wytracą do jednego.



— Sami nie będziemy.

— Krzyżacy, Czechy, Ślązaki — tych na pomoc zwoła.

— Z nami Łoktek i Litwa... Groźni to przeciwnicy.

Głową przecząco potrząsł ks. Paweł.

— Małoż mamy wszyscy wojny domowej? — rzekł. — Czyż nie trwa ona wciąż? Rozejrzyjmy się po kraju, jak wyniszczony, zbiedzony... Mamyż go do reszty gubić i gnębić?

Wszyscy pospuszczali głowy, nie znajdując rady wobec grożącej klęski.

W tej właśnie chwili od strony komnaty zamkowej, w której ucztowano, dolatywały okrzyki wesole; zabawiano się tam w najlepsze.

Gromadka, stojąca w dziedzińcu, wymieniła ponure spojrzenia.

— Chodźmy stąd — zawołał poruszony ks. Paweł. — Serce się kraje, słysząc coś podobnego!

— I znikąd rady, znikąd pomocy, przeciwko nieszczęściu! — szepnął Niemira.

— Jedyna nadzieja... w Bogu — odparł ks. Paweł uroczyście.

— Chodźcie do mnie — rzekł Klimenta. — Nie od rzeczy będzie, gdy się jeszcze nieco o tem nowem nieszczęściu pogwarzy. Kto wie... może cudowna myśl kogo oświeci.

— Idźcie — odparł wojewoda — ja na dejdę, jeno z księciem sam, na cztery oczy pogadam.

— Strzeżcie głowy, wojewodo — przestrzegł Niemira.

— Stara ona i niewiele warta — uśmiechnął się smutno Andrzej. — Nie lękajcie się wszakże, Wańko będzie się srożył najbardziej, lecz krzywdy mi nie uczyni. Szalonym on jest w gniewie, to prawda... miarkować się tedy będę. Wrócę do was rychło.

---

## VI

Wańko, poleciwszy gości Bartoszowi z Kretkowa, sam do komnat księżnej matki się udał; za nim pospieszył O. Wincenty, jako zaufany doradca, którego głos był zawsze prawie decydującym.

Księżna Anna spodziewała się odwiedzin syna. Zwierzał jej się we wszystkim, i tym razem więc nie omieszkiał zdać sprawy z poselstwa Krzyżaków i Czechów.

— Przysiężcie chęć zawrzeć trwałe — mówił — wszelką pomoc w przygodzie ofiarują, żądając wzajemności od nas.

— W porę przybywają — wtrącił O. Win-



centy. — Ofiary tej potrzebujemy, miłościwy panie, dziś więcej, niż kiedykolwiek.

— Przymierze to dla krakowskiego królika niemiłym będzie — szepnęła księżna. — Kto wie, czy nie stanie się przyczyną jego upadku.

— Upadek Łokcia można wywołać jedynie posiadając przewagę — zauważył O. Wincenty. — Dumny ten, i przyznać trzeba, żelaznej woli człowiek, niczem innem ugiąć się nie da, jeno siłą. Sojuszowi naszemu, jeżeli miłościwy pan takowy przyjmie, nie sprosta.

Książe słuchał zamyślony tych zręcznych podszeptów.

— Łokcia mi złamać i obezwładnić trzeba — rzekł. — Muszę z nim skończyć raz, bo srodze mi dopiekl. Z Krakowa pójdzie precz, choć koronę włożył i królem się ogłosił.

— Bezprawnie włożył tę koronę, miłościwy panie — mówił mnich. — Komu innemu się ona należy, wedle wszelkiej słuszności.

— Sojusz z Janem i Krzyżakami zetrze w proch dumę tego tułacza — westchnęła księżna Anna. — nie należy odrzucać przyjaznych dłoni, które nas do pożądanego celu doprowadzić mogą.

— Odrzucać przymierza nie mogę — półgłosem, jakby do siebie, rzekł Wańko. — Wiem, co mi ono przynieść może, chociaż — dodał szeptem — wyleje się wiele krwi.

— Krew leje się od wielu lat wciąż — od-

parł O. Wincenty — i dopóki Łokieć siedzieć będzie w Krakowie, łać się nie przestanie. Zgnieść go, złamać, precz z kraju wyświecić, a pokoju doczekamy.

— Litwę za sobą ma, Gedymin z nim ręką w rękę idzie — mruczał Wańko.

— Więc przymierze odrzucić z Janem, a samozwańca uznać? — szyderczo przerwała Anna. — Na kolanach może książe i pan mazowiecki czołgać się powinien przed wygnaniem, czołem mu bić, pył z obuwia ścierać?

Porwał się Wańko, szyderstwem tem do żywego tknięty.

— A! nie mów tak matko, bo wiesz, że do tego nie przyjdzie — zawołał. — On upokorzyć się i ugiąć przede mną musi. Zaprzysiągłem sobie, że wydrę mu jego królewskość, odbiorę koronę, którą skradł bezwstydnie i dotrzymam przysięgi.

— Co oby się stało — poważnym tonem szepnął O. Wincenty, oczy do góry wznosząc.

— Cofnijcie, miłościwy panie, przysięgę waszą, cofnijcie przez miłość kraju swego! — odezwał się niespodzianie wojewoda, który był wszedł przed chwilą i słyszał ostatnie słowa Wańki.

Zjawienie się Andrzeja wywołało na twarzach obecnych jawną niechęć. Książe nie



krył nawet gniewu i szorstko do przybyłego się zwrócił:

— Niewczesny z was gość, wojewodo, i nie pożądany.

— Wiem o tem, miłościwy panie, dlatego też przychodzę tu nie jako gość, lecz jako wierny wasz poddany — odparł Andrzej z godnością. — Cofnijcie, proszę, słowa, któremiście nienawiść Łoktkowi zaprzysięgli. Nie zgubę jemu gotujecie, lecz sobie nieszczęście.

— Radzę wam, wojewodo, zaniechać wnikania w nasze sprawy — przerwał mu Wańko. — Gdy potrzeba będzie, zawezwę was. Dziś jesteście zbyt tacy. Powtarzam to nie po raz pierwszy.

— Sprawa to nie wasza, miłościwy panie, lecz kraju całego. Przymierze, które wam ofiarują zdradliwe sąsiady, nowe klęski i nieszczęścia sprowadzi. Nie wierzcie fałszywym doradcom, spytajcie serca i sumienia własnego, azali ono słuszności mi nie przyzna.

— Dosyć o tem! — gwałtownie zawołał Wańko. — Pozostawcie wolność sądu mnie samemu, wojewodo. Męstwo wasze, rycerskość uszanować potrafię, ale nie ścierpię, byście mnie za pacholę gołowase uważali. Postąpię, jak mi własny rozum doradzi.

— Miłościwy panie, rozważcie skutki, jakie sprowadzi przyjęcie przymierza — nieustępował Andrzej. — Łoktek siłę ma, uznali

go wszyscy za pana zwierzchniego, bracia nawet wasi ku jego stronie się nachylają. Gedymin na każde zawołanie pospieszy, Ruś pomoce swej nie odmówi również.

— Nie odmówi mu pono i wojewoda Andrzej, skoro tak gorąco za nim stawą — wtrącił O. Wincenty zjadliwie.

— Siwy mój włos i życia mi niewiele zostaje — surowo odezwał się wojewoda. — O zdradę nie posądzi mnie nikt, chyba jaki łotr, którego zdradą i fałszem się karmi. Przyjdzie czas, gdy wszyscy jawnie się przekonają o prawdzie słów moich, a czasu tego nie radzę wam doczekać.

O. Wincenty zaciął usta, w oczach mu błysnęły skry nienawiści, kurczowe drżenia policzki odęte przebiegły.

— Miłościwy panie — ciągnął dalej Andrzej, ku księciu mowę zwracając. — Wyrzeknijcie się zamysłów, zaniechajcie bratania z przewrotnymi łotrami. Gady niemieckie do zguby was ciągną, gwoli własnej korzyści. Wabią, wskazując w przyszłości zyski świetne, obiecują koronę krakowską, a w rzeczy nasuwają na ręce wasze pęta. Pokorni ongi, zewsząd wygnani bracia zakonni, dziś kęs po kęsie kraj nam zabierają, wzrastając w moc i siłę. Jeżeli z kim należy w sojusz ściśle wejść, to z Łokciem jedynie przeciwko owej gadzinie zdradliwej.



— Zaprzestańcie słów próżnych, woje wodo, przechodźcie granice cierpliwości mojej.

— Nie, miłościwy panie, nie przechodzę granic cierpliwości. Wszak synem jestem tej ziemi, miłuję ją, jako macierz rodzona, nie mogę więc patrzeć, gdy nieszczęście dla niej się gotuje. Nie od dziś trzymacie z Krzyżakami, panie, nie od dziś pomagacie ich zamyśłom, jakież z tego skutki? Kraj cały pławi się codzień niemal we krwi, jęczy pod wrogiem naciskiem nieszczęść... Wspomnijcie Dobrzyń, gdzie sześć tysięcy ludu padło przez ową przyjaźń dla zakonu. A Ciechanów... a Pułtusk... a owe sto trzydzieści wsi niedawno w ciągu dwóch niedziel spalonych, gdzie ludzi rzezano, jak bydłęta proste...

— Wojewodo, ani słowa więcej!! — przerwał namiętnie Wańko. — Jeszczeście mnie gotowi zbrodniarzem okrzyknąć, obwinąć o mordy i pod sąd oddać.

— Spytajcie sumienia, miłościwy panie, azali ono wam pochwali przymierze z Niemcem — spokojnie odparł Andrzej. — Dosyć tych krwawych ofiar, dosyć nieszczęść. Ojciec wasz, pomnijcie na to, zgodę sprawiedliwą z Łoktkiem zalecał, doświadczeniem nau czony. Nie bądźcie katem narodu, otwórzcie oczy, boście je dotąd trzymali zamknięte...

— Starcze, nie dufaj sobie, bacz, co mó-

wisz!! — w przystępie szału zawołał Wańko. — Jedno słowo, a głowę dasz, choć włos na niej biały...

Trzęsąc się w pasyi okrutnej, pogroził wojewodzie zaciśniętą pięścią, z miejsca się porwał i szybko wybiegł, pozostawiając Andrzeja z matką i mnichem.

— Dziwne macie upodobanie, wojewodo, mieszać się do nieswoich rzeczy — rzekła księżna Anna, mierząc starca dumnym, pogardliwym wzrokiem. — Raz potrzeba zrozumieć, że niewolno jest bezkarnie obrażać pana swego.

— Niechaj Bóg przebaczy wam, pani, to złe, jakie świadomie krajowi wyrządzacie — poważnie, ze łzą w oku szepnął Andrzej. — Więcej... nie powiem.

Opuścił komnatę, pełen smutnego uczucia.

Biesiada na zamku trwała długo, nocą już późną rozeszli się uczujący. Wańko traktował gości ujmująco, okazując przez to, że pożądanymi szczerze byli. Przyjęcie, jakiego doznali, nie pozwoliło wątpić o pomyślnym skutku sprawy... świadczyło ono dowodnie, że przymierze było jak gdyby już zawartem i obustronnie potwierdzonem.

---

Jakkolwiek dla obu posłów książe mieszkanie w zamku przygotować kazał.



wszakże podziękowali oni za ten dowód łaski i po biesiadzie, udali się do dworka mieszczanina, zwanego powszechnie Żółtym Hansem. Przybysz to był rodem Niemiec, w Płocku odniedawna osiadły. Kupczył miechami kosztownymi, z czego się miał wcale dostatnio. Rychło po przybyciu do miasta wybudował sobie dworek własny, zaprowadził gospodarstwo, a rok rocznie pono do kutej żelazem skrzyni składał srebrne grosze i denary... Krom kupiectwa, trudnił się też lichwą, odzierając potrzebujących ludzi ze skóry.

Hans wyczekiwał niecierpliwie powrotu gości swoich z zamku, znać go sprawa przymierza niemało zajmowała. Badawczym wzrokiem spoglądał w twarz komtura Oskara, chcąc wyczytać z niej rezultat poselstwa.

— Zatem rzecz skończona? — zapytał, gdy goście na ławach zasiedli.

Krzyżak ręką machnął niedbale.

— Należało się tego spodziewać — rzekł.

— Z otwartymi rękami was przyjęli? — badał Hans.

— Książę płocki inaczej nas nie zwykł przyjmować — odparł komtur. — Dziś rad był więcej, niż kiedykolwiek, chociaż mu wojewodzińscy niechęć okazywali jawną.

— Nie groźna dla nas ta niechęć — lekceważąco podjął Hans. — Kończy się na uty-

skiwaniach i żalach, co jeszcze więcej utrwala księcia w uporze.

— A jednak należy działać pospiesznie — przestrzegł Holubek. — Kto zaręczy za jutro? O ile wiem, książę miłością ludzi się nie cieszy...

— Obawiacie się o spisek? — ramionami poruszył komtur. — Płonne to obawy. Znam dobrze ten naród... panów swoich wciąż bezwzględna otacza i nigdy przeciw nim zdrady nie zamyśli...

Przecząco poruszył dłonią Czech.

— Wiadomo mi, że naród ten ślepo do panów się przywiązuje swoich — rzekł — aleć przyznacie mi, że równie kocha kraj swój... Nuż wpadnie kto na trop zamiarów naszych... wtedy za nic ręczyć nie można.

— Bądźcie bez obawy — uśmiechnął się Krzyżak. — Rycerski to naród, pełen zapału i męstwa, ale pozbawiony wzroku. W potrzebie stanie, jak mur, strasznym jest wówczas, lecz co się dokoła dzieje, nie widzi. Bądźcie bez obawy i zdajcie się na nas.

Holubek umilkł, znać wszakże po nim było, że go pewność komtura nie przekonała.

Niebawem liczbę gwarzących powiększył O. Wincenty, który się wsunął ostrożnie, szeroką opończą całkiem zasłonięty. Biegł z zamku szybko, aż się zasapał i po chwili dopiero przyszedł do słowa.



— Coś pilnego macie Ojcze, skoroście się o tej porze tutaj trudzili? — zagadnął go od progu komtur. — Nie sądzę, iżby się co miało dla nas niemiłego stać?

— Jak dzisiaj nic — odetchnawszy, mówił mnich — wszakże, prawdę rzekłszy, mam pewne powody, które nakazują użyć wcześniej środków przezorności na przyszłość...

— Miałżeby Wacław niedowierzać? — szybko przerwał Krzyżak.

— O Wacławie nie mówię — odparł O. Wincenty. — Jemu w głowie Kraków i... dośstojeństwo zwierzchniego pana...

— Zatem? — nalegająco pytał Krzyżak.

— Wojewoda ten... — powoli mówił mnich. — On nam całą sprawę zepsuć może. Jedyne to człowiek, którego się lękać mamy zasadę.

— Sam on niestraszny — zauważył komtur.

— Gdybyż był sam! — westchnął mnich. — Ale ma wielkie poszanowanie u ziemian, słowo jego nadto wiele znaczy, iżby je lekceważyć można. Zawsze był nam przeciwny, dziś bardziej, niż kiedykolwiek. Przy mnie księciu w oczy surowe prawdy mówił, nazywając przymierze zdradą...

Krzyżak słuchał z uwagą, gładząc lśniąca brodę, twarz mu posępniała, chmurzyła się, gniew nim owładał.

— Pozbyć go się — rzucił krótko.

— Łatwo powiedzieć — na to O. Wincenty. — Zważcież, że Andrzej nie sam przeciwko nam występuje. Nie stanie jego, zastąpi ojca syn, dojrzały i bystrego umysłu rycerz... Zresztą mamy wroga w biskupie Floryanie... przy którym stoi większa część Kapituły. Za Andrzejem stoją mnodzy ziemianie... ba! i czerni moc.

Sprawa niełatwa.

Palcami po stole uderzał.

— Spodziewacie się tedy wybuchu jakiego? — pytał komtur.

— Kto to wie? — ręce złożył mnich. — Sądząc z tego, com słyszał, źle z nami. Andrzej i niektórzy z ziemian radzili wieczór cały u biskupa. Mają z nim gromadnie do Wacława iść i zerwania sojuszu żądać.

— Wacław ani słuchać zechce.

— To więcej niż pewna, lecz sprawa opóźnić się może, do Łokcia doniesie, a ten zepsowa wszelkie plany...

— Idzie zatem o pośpiech...

— Nieinaczej. Każda chwila droga.

Krzyżak milczał czas niejaki.

— Skoro się rozpoczęło, skończyć trzeba — rzekł. — Jak dla nas, tak dla Jana ważna to sprawa. Łokieć Pomorze chce nam wydrzeć, do Papieża nas skarżył i wyrok pomyślny ma. Tej straty dopuścić niepodobna.

Zamyślił się znowu.



— Rada na to — odezwał się Holubek — mieć wojsko w pogotowiu. Przymierze potwierdzić obustronnie i uroczyście, a potem... wkroczyć do Mazowsza i zająć je. Śląsk prawie cały nasz, tam wojsko zebrać można. Król Jan ma tam załogi wszędzie... Wszakci księstwa: opawskie, opolskie, bytomskie, falkenberskie, wrocławskie panowanie czeskie uznały. Mamy też po innych księstwach zamki silne... Kłodzko, Frankstein — warownie są nielada.

— Nie zapominajcie, że Łokieć na Śląsk już się wkradł — przerwał Krzyżak. — Przycisnął Henryka, Bolesława na swoją stronę przeciągnął. Ci szkodzić nam mogą. Zresztą skoro rozpoczniemy ścigać wojska, zauważy to każdy.

— Łatwo to upozorować. Idzie głównie o urozyste potwierdzenie przymierza, zaczem radzę natychmiast zająć, wy Pomorze na wieczne czasy, my Mazowsze i... co się da. Gdy się usadowimy, o wycofaniu nas ani mowy nie będzie. Za ręce się wzięwszy, łącznie i Łokcia z czasem z Krakowa pozbędziem.

A wojewodzie dać pokój. Usunąć go nie trudno, tysiące jest sposobów, lecz to zaszkodzić nam może. Teraz pilnie o zatwierdzenie przymierza, chociażby jeszcze przed niedzielą.

— Jabym się starego zbył — szepnął komtur. — Bądźcobądź, przy największym pośpie-

chu kilka niedziel zejdzie, zanim formy wszelkie pokończymy, a przez ten czas lichy się może stać.

— To pozostawmy O. Wincentemu — ze stanowczością rzekł Czech. — Jego obowiązkiem jest pilnować naszego dobra. Gdyby się okazała gwałtowna potrzeba... ha! w takim razie niechaj poczyną, co uzna za stosowne, ale tylko wtedy.

Mnicha, gdy usłyszał to polecenie, zimne poty oblały.

— Srodze niebezpieczną robotę mi dajecie — mruknął. — Palcem się jej tknąć, a pęta sama na gardziel spadnie.

— Strachemście podszyli — rozśmiał się Krzyżak. — Czy pierwszozna to dla was?

Zamiast odpowiedzi, spojrział jeno O. Wincenty na mówiącego.

— Nie trzymalibyśmy byle kogo w Płocku na tem stanowisku — ciągnął komtur. — Powierzyliśmy je wam, bo znamy was zdawna. Macie głowę nielada, a w niej tysiące sposobów na wszystko. Z każdej matni potraficie się wywinąć...

Tak gwarząc, przesiedzieli do rana niemal, aż dzwony kościelne przypomniały O. Wincentemu, że czas wielki powracać do klasztoru, aby uniknąć podejrzeń, które wzbudzić mógł teraz każdy krok mniej ostrożny.



## VII

W kilka dni po wyjeździe z Płocka posłów, Jaszko do Otolinka ruszył. Czekala tam na niego macierz stara, niewiasta zacności wielkiej, miłująca syna bez granic. Niedziwota zresztą — Jaszko był jej oczkiem w głowie, pociechą i chlubą. Posiadał on jako rycerz cnoty tak wielkie, że imię jego każdy wymawiał ze czcią, równie jak ojca, chociaż młodym był jeszcze. Niemniej wzorowym był synem, odplacał rodzicom ich miłość szczerem przywiązaniem i szacunkiem. To też skoro pod rodziną wracał strzechę, pani Andrzejowa nie posiadała się z radości, a rzadko bez łez przy powitaniu się obeszło.

W Otolinku tym razem zastał Jaszko gościa, sąsiada swego, Marka Bogoryę z Przanowa. Był on wieku wojewodzica, lecz całkiem odmiennego charakteru i usposobienia, o czym przekonywała już zewnętrzna postawa. Wzrostu wysokiego, rozrosły cielskiem, twarz miał jakby zaspaną, nabrzmiałą, pełną czerwonych plam i pryszczów. Nosił się niby dostatnio, lecz suknie na nim były zazwyczaj wytarte, na piersiach złane rozmaitemi trunkami, tu i owdzie dziurami świecące. Z pod czerwonych, jakby napuchniętych powiek, patrzyły oczy zamglone, zmęczone, wiecznie drzemiące i zaropiałe... Boć był ten Marek

zapamiętałym opojem, życie hulaszczce pędził, nie zważając na wstyd i ludzi. Zmarły jego ojciec z Andrzejem w wielkiej żył przyjaźni, stąd syn dom wojewodziński za swój uważał, przesiadując tu często, bowiem u niego nie raz brakowało chleba... Swego czasu moźny był ziemianin, ojciec pozostawił mu dobra wszelakiego wbród, przecież stracił, zmarnował to wszystko, bez pomiarkowania żywota używając. Doszło do tego w końcu, że i ziemię zaczął sprzedawać, wyczerpawszy zasoby, jakie posiadał.

Przy nim w Przanowie mieszkała siostra jego, Miłka, a ta była przyrzeczoną Jaszкови, wedle umowy Andrzeja ze zmarłym Bogoryą. Dziewka urodę miała wcale piękną, młoda była, ponętna, jeno do zbytku siebie miłująca, złośliwa i dumna. Uważała się już jakby za żonę Jaszkową, boć lada dzień wojewoda uroczyste zaślubiny sprawić zamierzał, czemu się Jaszko nie sprzeciwiał, szanując wolę rodzica.

Siedział Marek przy dzbanie miodu, korzeniami ostremi zaprawionym, gdy Jaszko wszedł do izby. Na powitanie przyszłego szwagra nie wstał nawet, jeno się uśmiechnął, ręce do niego wyciągając.

— Jakże mi się masz, jak się masz! — począł ochrypłym głosem. — Setnem cię lata nie widział! Myślałem, że cię po drodze wilki pożarły albo łotrzykowie usiekli. Ażem przyje-



chał do Otolinka z tęsknicy wielkiej, bom w Przanowie dosiedzieć nie mógł.

— Zdrowym oto i cały — odparł Jaszko, matkę witając, która go tuliła i całowała. — Wcześniej wrócić nie było sposobu... Dziś takie czasy, że człowiek nie wie, kędy mu być i jak długo wypadnie.

— Bo taką naturę masz, mój Jaszku — prawil Marek — że na miejscu usiedzieć ci trudno. Byle głupstwo jakie... pędzisz, gdyby na rozkaz książęcy. A ja zawsze ci powtarzam i powtarzać będę wciąż — marna taka natura. W domu siedzieć, gdy się ma kąć ciepły i strawy po szyję. Łba po próżnicy nadstawiać nie warto. Od tego są inni.

— Dobra to racya, ale nie dla mnie. Mierzysz wszystko swoją miarką — uśmiechnął się wojewodzie.

— Ot, powiedziałeś! — westchnął Bogorya. — Mierzę wszystko wedle rozumu, bo wiadoma rzecz, że oleju w głowie mi nie brak. I dlatego powiadam tobie, Jaszku mój, głupstwo robisz, życie narażając. Małoś się mieczyskiem namachał? Mało ci krwi utoczyli? A wszakżeś nie sam już, masz o kim pamiętać i żyć dla kogo...

— Zawsześ jednaki — ramionami ruszył Jaszko.

— A jednaki — potaknął Marek. — Takim już pozostanę do zdechu, bo mi z tem dobrze.

Ej Jaszku, Jaszku... gdybyś ty rozum miał... ale co tam o tem gadać!

Z kubka pociągnął i splunął.

— Co tam o tem gadać — mówił. — Ja swoje, ty znowu swoje. A Miłka... co ciebie tam obchodzi, że dziewczka tęskni i płacze? Niechaj!

Jaszko na to wspomnienie sposepniał.

— Miłka samaby mnie z domu wyprawiła, gdybym beczynn timer siedział wtenczas, kiedy rycerzowi w polu orężnie stać należy — rzekł.

— Co tam o tem gadać — powtórzył Marek. — Dzielny z ciebie rycerz, znają cię naokół... ale... — tu palcami w czoło stuknął — ale pomiarkowania ci brak. Niechno w mieczyki zagrają, oho! tracisz pamięć na wszystko.

— Co sprawiedliwie, to sprawiedliwie — podchwycił Barwa, który zbroję z pana zdjąwszy, lżejszą mu szatę podawał. — Mój pan Jaszko nadto w rycerskość swą dufa, o sobie zapominając. Jemu byle w polu z mieczykiem. Ot i niedawno, gdyśmy do Płocka jechali... trzebaż to było samemu licha szukać. Dobrze, żeśmy się jakoś wyplątali, a było krucho.

— Milcz, języku tyrkotliwy! — fuknął zniecierpliwiony Jaszko. — Baba jesteś oto!

— A jużci baba — mruknął Barwa. — Ciekawa rzecz, cobyście, miły panie, zrobili gdy-



byście pod owym grodkiem Spytkowym tej baby przy sobie nie mieli.

— Jakże to było? — spytał zaciekawiony Marek.

Już miał Barwa rozpocząć opowieść, gdy Jaszko zmierzył go surowem spojrzeniem i drzwia ręką wskazał, czem z tropu zbity sługa zamknął usta i wysunął się niechętnie z izby.

— O czem on prawił? — dopytywał Marek. — Wiem, że chwalić się nie lubisz, ano odpowiedz bez chwalby tę przygodę, bo przeczuwam, że warto posłuchać.

— Et... niema o czem mówić — skrzywił usta Jaszko. — Łotrzyków gromadę spotkaliśmy po drodze i tę rozpędziliśmy na cztery strony.

— We dwóch?

— Nic dziwnego. Czerń to była bezbronna...

Marek widząc niechęć, z jaką odpowiadał Jaszko, zastanowił się.

— Musiało się tam coś osobliwego stać — zauważył — bo jakoś niewyraźnie gadasz.

— Co się miało stać? — podchwycił nieco zmieszany Jaszko. — Zdaje ci się tylko.

— Zresztą mniejsza z tem — rzekł Marek, dolewając sobie miodu. — Opowiedz, co tam na białym świecie słyhać? Co Wańko?

— Jak zawsze — odparł wojewodzie. —

Łokcia z głowy wybić sobie nie może, a teraz więcej niż zwykle.

— Zamyśla co nowego?

— Przymierze z Krzyżaki i Czechami zawarł.

— Trzyma on się ich oddawna — ustami cmoknął Marek. — Zwarli się gromadą jako jeden, na skórę Łokciową się zmówiwszy. Znała to rzecz!

— Że się trzymał, wiedzą wszyscy, ale sojusz przysięgą i dokumentami nie był owarowany.

— Co tam przysięga i dokumenty, tyle znaczą one, co ten wiatr na dworze. Hm... może teraz krakowskiemu królikowi podolają.

— Jak myślisz?

— Czech silny, Krzyżaki... ho! ho!... gdy się we trójkę wezmą, jak nic do Krakowa się dostaną.

Jaszko z dziwnym wyrazem spojrzał na mówiącego.

— A nuż inaczej się stanie? — spytał.

— Inaczej się nie może stać — odparł Marek z pewnością. — Jakże ty chcesz... Z Czechem się przywlecze Bóg wie nie kto... siła sroga, Krzyżaków jest ćma... rycerstwo wyćwiczone...

Po kolanach dłonią się uderzył.

— A to pewnie ruszycie na Kraków lada dzień? — zagadnął przemilczawszy.



— Nic jeszcze nie wiemy.

— Pewnie, że tak — sam do siebie prawił Marek. — Snać bierze się nasz Wańko na ostro. Nie chybi, pociągnie na Kraków, jakbym wiedział. Skoro przymierze, i to zaprzysiężone, czekać niema co.

— I ty pociągniesz z nami? — drwiąco spytał Jaszko.

— Jużci! — ziewając mówił Marek. — Beze mnie się tam obejdzie... Gdyby gwałt jaki... ha... człowiekby musiał, ale tu, co mnie tam obchodzi kto w Krakowie? Taki mi dobry Wańko, jak i Łokieć. Ani mnie ziębi, ani grzeje, że się za łby drą.

Przeciągnął się, oczu przetaił, dłonią wsparł twarz, prowadząc dalej:

— Ciężkim ja do miecza i konia, bo mi w nogi niemoc weszła tak, że ani się jej zbyć; dlatego siedzę doma, jak przykutym, chyba, że ostatnia potrzeba za kark weźmie i w pole pchnie; mimo to, gdy się oszczepu dorwę, szparko nim jeszcze potrafię.

Ręką wywinał, zuchwałą minę nastroiwszy.

— Jeszcze potrafię, mój Jaszku, pono nie gorzej od ciebie; siła jest, rycerskość się znajduje, chociażem choróbskiem tknięty. Jenobym darmo, jak ty, łba nie nadstawiał. Powinność? Jaka powinność. To jest powinność, aby wygodę mieć i wczas.

— Miód przez ciebie gada, nie ty sam — śmiał się Jaszko.

— Można mu wierzyć, ile, że jest zacieł smaczny trunek. A taki mówię... Jaszku... pluń tam na owo uganie się z czartem wie kim, weź Miłkę, boć to przyrzeczona twoja... i razem oto będziem żyć, Boga chwając...

Gestem wyraźne zniecierpliwienie okazał wojewodzie.

— Zważ, bracie miły — plótl niezmordowany Marek — co ty najlepszego poczynasz? Najpiękniejsze lata stracisz, dziewczka bez ciebie schnie i czeplka doczekać się nie może. Latka płyną, jak woda... uroda niewieścia niewieczna, młodość krótka... A wszakże Miłka siostrą mi, to też bez żalu patrzeć nie mogę, jak się nieboga marnuje.

Ożeńbyś się do licha starego raz!!

— Na to mam dosyć czasu — odparł wojewodzie sucho. — Sromota dla męża i rycerza babieć w domu, gdy kraj ogniem płonie i krwią się pławi.

— Opamiętasz się w niedołęstwo wpadłszy — mrucał Marek gderliwie. — Zresztą, któż ci broni rycerskiej zabawy? A jedź i tłucz się o chłódzie i głódzie, jeno ożeń się wprzód.

Wstał z trudnością i chwiejnym krokiem do wojewodzica się zbliżył.



— Posłuchaj mnie... — rzekł, wsparłszy się na ramieniu przyszłego szwagra. — Bratem jestem rodzonym Milki, więc obchodzi mnie ona. Szkoda mi dziewczki, żal... marnuje się... schnie... tęskni... oczy wypłakuje czekając, rychło jej wianek pochwycisz. Skończyłby raz z nią, a potem, rób, co ci się żywnie podoba. Ona dziś, nieboga, dnia ni nocy spokojnej niema... A jeszcze ludzie... ludzi znasz, rozmaite gadki rozpowiadają. Trapi się, frasuje, bez winy będąc.

Jaszko za odpowiedź niechętnie się zżymnął, odsunął Marka, znać było, że go ta rozmowa męczy.

— Przestałbyś mi od rzeczy pleść — odparł. — Milka, słysząc ciebie, ze wstyduby spłonęła.

I zostawiwszy gościa samego w izbie, wyszedł.

To dziwnie oziębłe postępowanie tknęło Bogoryę. Jaszko nie zwykł w ten sposób przemawiać do niego. Zbywał wprawdzie nagabywania o ożenieniu tłumaczeniem rozmaitem, ale nigdy tak niechętnie jak dziś, się nie odzywał...

— Ki licha z nim? — rozważał Marek. — Coś mu jest, coś snąć dolega...

A wielce mu chodziło o to, iżby ślub wojewodzica z siostrą przyspieszyć. Roztrwoniwszy własne, po rodzicu odziedziczone do-

bro, przytem leniwym do ostateczności będąc, był tego przekonania, że zostawszy szwagrem Jaszka, będzie mógł jego kosztem żyć. Wojewoda do najmożniejszych panów Mazowsza się liczył, związek tedy z jego domem mógł Bogoryę na nogi postawić. Dlatego, za każdym widzeniem, Jaszka o przyspieszenie ślubu z siostrą napierał.

— Coś mu się musiało stać? — myślał sam zostawszy. — Niezwykłe dziwnym mi się wydaje.

Wyszedł, kierując się ku czeladnej.

— Barwę mi dostać, może on wytłumaczy tę zgadkę?

Jakoż udało mu się pochwycić gadatliwego dworzanina, którego też odciągnął na bok, w ustronne miejsce.

— Co naszemu Jaszкови jest? — spytał poufale.

— Co ma być — na to Barwa. — On zawsze jednaki.

— A nieprawda. Jemu coś musi być — uparł się Marek. — Ty mi w oczy piasku nie syp, dobrze niemi dziś widzę.

— Ja tam o niczem nie wiem — omijał Barwa.

— Ejże nie kłam. Zakazał ci mówić? Przyznaj się.

— Nic mi nie zakazywał.



Pokręcił głową Marek coraz więcej zaciekawiony.

— Barwa — odezwał się po chwili — nie przez próżną ciekawość cię pytam, jeno przez wzgląd na twego pana, który mi jak rodzonym jest. Nie zdradzę cię, słowo moje masz na to. Rozpowiedz wszystko.

I tym razem skutku nie było. Barwa jeno głowę między ramiona wcisnął.

— Zgoła o niczem nie wiem — odparł.

— Bodajeś pękł! — pomyślał rozzłoszczony Bogorya; zaś głośno mówił: — Skoro zakazał, nie gadał. Sam się dowiem. Bóg widzi, że przez dobre serce pytam... Wiesz przecie, iż siostra moja jemu się dostanie, więc wszystko, co jego dotyczy, obchodzi i mnie.

Spojrzał Barwa na mówiącego z pod oka, uśmiechnął się, co dostrzegł Marek.

— Wątpisz o tem? — żywo zapytał.

— Gdzie mi tam wątpić albo nie wątpić — odparł Barwa. — Coś się wam przywidziało, panie, i chcecie chyba, abym was kłamstwem zadowolili.

— Niechajże cię kat porwie! — machnął na odlew szeroką ręką Marek, poczem zwolna potoczył się z powrotem do izby.

## VIII

Szumiał stary, dziewiczy las, pieśń jakąś nucił poważną... Lekki wiatr poruszał liśćmi drzew, niby gęślarz strunami lutni, wywołując z nich przedziwne tony. Pieśń ta rozplywała się powoli w puszczy bezgranicznej, to cichła na chwilę, to odzywała się znowu. Nie przerywał jej żaden inny głos, zdawało się, że brzmi po nad przestrzenią obumarłą, snem kamiennym zakłętą... Jakoż w lesie onym nie dostrzegłeś żywej istoty. Przez zielony płaszcz liści promienie złote słońca na ziemię spadały, pieszcząc drżące pod chłodem rosy porannej mchy i trawki...

Nagle uroczysta cisza pierzchła, po lesie zadźwięczały rogi, zatętniały kopyta koni, rozległy się głosy ludzkie. Z cienistego jaru wysunęło się trzech zbrojnych, a szli oni zwolna, ostrożnie, szepcząc między sobą tajemniczo. Twarze ich kryły przyłbice, w ręku każdy trzymał oszczep, ale nie łowiecki na zwierza, jeno taki, jaki się na wojnie używa.

— To tutaj? — szepnął jeden, zatrzymując się.

— Tutaj — potwierdził drugi. — Zaręby rzecz, aby go tu zwabić.

— Straszno — odezwał się trzeci.

— Co ci za strach? Sam przecie będzie...

— A nuż nie uda się i pozna nas?



Pierwszy ramionami poruszył.

— Było ci w domu zostać, gdyś baba — rzekł. — Powiadam tobie, że będzie sam. — Jenó patrz dobrze i ręki nie żałuj. Puścić oszczep rażno i koniec.

Za rozmawiającymi dał się słyszeć trzask, odgłos łamiących się pod stopami ludzkimi gałęzi.

Obejrzeni się wszyscy trwożliwie.

— Co to było? — spytał pierwszy.

— Zdawało mi się, że słyszę kroki czyjeś...

— Et... gałąź spadła sucha...

— Lepiejby się przekonać.

— Żywego ducha niema. Co znowu!

Mimo to rozeszli się, opatrując dokoła.

Po chwili wrócili znowu — głęboka cisza panowała w jarze, śladu istoty żywej nie znaleźli.

— Niema się czego lękać — ośmielał towarzyszy pierwszy. — Jesteśmy sami. Pozbądźcie się strachu, a wszystko pójdzie, by z płatka.

— Popłatna robota, wszelako... żałuję, żem się jej podjął — rzekł trzeci.

— Nie czas na rozmyśły — fuknął pierwszy. — Cofać się nie można. Zważ, że cofając się, głowy pozbędziesz, jak nic.

— Prawda, że teraz wozu-przewozu niema — półgłosem mruknął trzeci.

— A widzisz. Wielebny wyraźnie uprzedził nas o tem — przekonywał pierwszy — a wiesz, że on nie żartuje; co przyobieca, z pewnością dotrzyma.

— Cyt!... zaczęli!! — przerwał drugi, nad słuchując.

— Na miejsca, na miejsca!! — zawołał pierwszy.

Zaraz też szybko rozeszli się i zaszyli pomiędzy drzewa.

Po lesie grzmiały znowu rogi, rozlegały się nawoływania, szczekania psów... Polował ktoś widocznie. Odgłosy te jednak raczej oddalały się, aniżeli zbliżały. Trwało to dosyć długo. Nagle odgłosy zmieniły kierunek... tentent, szczekania szły teraz wprost na jar. Wreszcie z gęstwy leśnej wypłynął zziąpany rogacz, o przepysznej koronie, dojeżdżany przez kogoś. Łeb trzymał wysoko podniesiony, kark wygiął, niby cięciwę łuku, piersi rozsadził i pędził szybko, ledwie dotykając małemi kopytkami ziemi... Ślepie szlachetnego zwierza krwią nabiegły, ozór wywiesił, pysk mu piana bielita, pryskając kawałami na liście krzaków... Na rogach niósł kilka gałązek zielonych, o które podczas gonitwy zaczepił, a te podobnie wiankowi je oplotły... Za nim sadziły psy ogromne naszczekując, z równie krwawemi ślepiami, podniecone widokiem zdobyczy, z której sobie ucztę obiecywały obfitą... Za te



mi wreszcie ukazał się jeździec, trzymający grot do rzutu gotowy.

Był to wojewoda Andrzej.

Acz starzec, myśliwstwa się nie wyrzekł; stanowiło ono jego zabawę, której się przy wolnym czasie z zamiłowaniem oddawał. Gdy dosiadł konia i granie rogów go doszło, powstrzymać się nie mógł... Zbываło mu wtedy lat parę dziesiątków z barków.

Rogacz pędził, czując psy i dojeżdżacza coraz bliżej za sobą. Przestrzeń między nimi szybko się zmniejszała... niebawem, a zostanie bez ratunku.

Wojewoda obliczywszy, że na grot już czas, wyprężył nogi w strzemionach, zamachnął się z całej siły... Grot zawarczał w powietrzu, lecz jednocześnie koń wojewodziński spał się na tylne nogi, zarżał i padł całym ciężarem na ziemię, pociągając za sobą jeźdźcę.

Pierś miał przeszytą oszczepem.

Zdumiony jeździec podnosił się z ziemi, co mu wszakże z trudnością przychodziło, bo nogi miał zaplątane w strzemionach, gdy naraz został otoczony przez trzech zbrojnych, nieznajomych ludzi.

— Kto jesteście? Czego chcecie!! — zawołał groźnie, głosem do rozkazów nawykłym.

— Nic wam po tej wiadomości, wojewodo — zaśmiał się jeden. — Pożegnajcie się oto

z życiem, boć czas, byście spoczęli po tylu latach znoju...

— Łotrze ty!! — krzyknął Andrzej, za obuszek chwytając.

Nieznajomi rzucili się ku niemu, zanim wszakże zdążyli go uchwycić, już jeden leżał na ziemi, ze łbem, pomimo obrony skórzanego hełmu, rozplatanym, dwaj drudzy zaś klęczeli, drżąc z trwogi.

A stało się to tak:

W chwili, gdy najemni łotrowie cisnęli się ku wojewodzie, wypadli z jaru dwaj ludzie; z tych jeden siekierą łeb rozplatał najbliższemu łotrowi, następnie wraz z drugim pochwycili pozostałych, których ten nagły zwrot rzeczy osłupił i przeraził.

Wszystko to działo się tak szybko, że wojewoda myśli narazie zebrać nie mógł... Patrzył przed siebie wzrokiem niepewnym... przenosząc go z łotrów na wybawicieli.

— Nie lękajcie się, wojewodo — rzekł jeden z tych ostatnich. — Siły mamy teraz przeważające. Ano, pomóżcie nam związać łotrów, chociażby uzdą waszego konia, z którego nic wam już.

Mimowolnym ruchem, Andrzej uzdę z konia dogorywającego zdjął i mówiącemu podał.

— Ot tak — pętając łotrów prawil do siebie nieznajomy. — Będziecie mieli nagrodę,



boście na nią szczerze zarobili. Szkoda jeno, że nie jednocześnie ją otrzymacie... oto ten was wyprzedził.

Pochylił się nad leżącym z głową rozplataną, z której hełm opadł, twarz odkrywając.

— Niewiele mu się należy — rzekł.

W rzeczy samej tak było; łotr konał, drżąc konwulsyjnie, zęby mu szczękały, oczy szeroko otwarte patrzyły z przerażeniem, z gardła wybiegało rżenie.

Andrzej jeszcze przyjść do siebie nie mógł; wpatrywał się w twarz wybawiciela swego z coraz to większym zdumieniem.

— Obaczmyż, jak wyglądacie — mówił ten zdzierając z twarzy spętanych łotrów przyłbicę. — Hm... kat was zna...

— Żółty Hans... Pietrzyk... — zawołał wojewoda.

— A, znacie ich? Temci lepiej. I to się na coś przyda. A no... chodźmy stąd; niezdrowo tu dzisiaj dla was, wojewodo. Gąsior... pędź tych wisielców na gródek.

— Ale kto wy jesteście, na Boga?! — zapytał Andrzej. — Powiedzcież, proszę.

— Spytek jestem z Borowic... mieszkam stąd niedaleko... — odparł zapytany.

— Spytek... anom o was nie słyszał...

Uśmiechnął się pan z Borowic.

— Możecie kiedy i słyszeli.

Tu wojewoda za rękę go pochwycił obydwie, zatrząsł niemi, wołając:

— Kłamiesz! Kłamiesz! Znam cię... Jako żywo znam... Tyś nie Spytek żaden, jeno Zbyszek ze Skrzypna... dawny mój znajomek i druh... Siłem czasu cię nie oglądał, boś zgiął naraz, przepadł, niby kamień w nurtach Wisły, czas cię zmienił, alem cię poznał. Tak ci — głowę dam, że się nie mylę. Tyś Zbyszek.

— Nie będę się wypierał, jam jest — rzekł pan z Borowic.

— Gdzieś bywał, co się z tobą działo, druha mój stary? — dopytywał wojewoda poruszony.

— Dowiesz się wszystkiego, wiem, że dufać ci mogę, jak rodzonemu. Wszelako nie tu miejsce na rozmowę. Przytem kto wie, czy okrom schwytanych, więcej jeszcze łotrów na was tu gdzie nie dybie. Ot, jakich doczekaliśmy się czasów! Najgodniejszy, najwięcej zasłużony mąż życia nie jest pewien... Ano — proszę was, nawiedźcież mnie w mojej pustelni, którą mało kto zna. W pobliżu one Borowice moje. Jeno waruję sobie — nazywajcie mnie Spytkiem. Zbyszek ze Skrzypna nie istnieje, przynajmniej do czasu.

Gąsior już przed chwilą spętanych łotrów do Borowic zapędził, wojewoda z panem Spytkiem



kiem szli ich śladem, obaj zamyśleni, rzadko słowem rzucając.

W Borowicach, po posiłku, gospodarz z gościem zasiedli do gawędy, wyprawivszy służbę z izby precz. Pan Spytek, zanim zwierzać się przyjacielowi zaczął, czas niejaki milczał, dłonią po czole przesuwając, snać myśli zbierając.

— Ciężko ci zacząć? — zagadnął wojewoda.

— Prawdziwie ciężko! — westchnął gospodarz. — Toć muszę zabliznione rozdrapywać rany, rozkrwawiać je. Nie rozkosz to...

— Znam ja potroszę owe rany, czuję, ileś musiał przecierpieć...

— Wszystkie piekła przeszedłem! Tyle lat upłynęło, tyle czasu, a jednak ukojenia nie znalazłem. Krzywda mnie pali, doskwiera mi, żre serce, myśli w głowie mąci... zmora mi jest dniem i nocą...

Znów westchnął, po izbie się przeszedł.

— Ano, snać tak sądzono, tak Bóg chciał, żebyśmy się spotkali, iżbyś mnie poznał... — ozwał się po chwili. — Słuchajże tego, co ze mną było...

Wiesz, iżem się swego czasu rozmiłował bez pamięci w najpiękniejszej bodaj dziewce na świecie, iżem ją pojął za małżonkę, i do domu swego, do Skrzypna zwiózł. Nie czuła ona do mnie miłowania takiego, jakiem ja do niej pło-

nałem, ale mi wstrętów nie czyniła, była uległa, cicha, posłuszna, tedy mniemałem, iż czas zwróci ją ku mnie, jak się to zwykle dzieje. Po roku pożycia, córkę mi powiła, a wówczas mniemanie moje silniejszym bardziej jeszcze się stało, bo przecież potomstwo, z natury rzeczy, najtrwalej zbliża i zwraca ku sobie serca rodziców, chociażby one przedtem niezbyt ku sobie się skłaniały I niewątpliwie, owo zbliżenie się zupełne nastąpiłoby wreszcie, gdyby nie ów szatan wcielony w postaci zausznika szalonego Wańki, Zaręby, który też złym duchem jest księcia, prowadzi go do bezecności, zdrożne nasuwa myśli, korzystając z jego zaślepionego zaufania. Ów to niecnota, zdawna dla mnie, jak zresztą dla każdego uczciwego człeka, niechętny, tembardziej, żem go podczas nie oszczędzał i słowa prawdy bez ogródek w oczy rzucał, ujrzawszy małżonkę moją, szepnął o niej Wańce. Księżciu dość słowa, iżby namiętność w nim rozbudzić. Począł do mnie zajeżdżać, to na łowy, to rzekomo po drodze, i anim się spostrzegł, jak mi umiłowaną otumaniał, uwiódł i uprowadził... Gdy tak niecny czyn umyślił, mnie wysłał do braci swoich, z jakowemiś rzekomo ważnemi pismami. Jam wolę jego w najlepszej wierze pełnił, a on tymczasem gniazdo rodzinne mi splugawił, uwiózł małżonkę i ukrył tak, iż żadną miarą dojść nie mogłem, gdzie się obraca.



Gdy się dowiedział, jaką mi krzywdę wyrządził Wańko, szalałem z rozpacz. Spadła ona na mnie niby piorun z jasnego nieba. Dziw jest, że całkiem zmysłów nie postradał, tak srodcie odczułem nieszczęście moje. Mało brakło, iżbym temu szatanowi, który na kraj własny, Niemce naprowadza, przez dumę ogniem i mieczem go niszczy, życia nie wydał. Zemsta opanowała mnie całkiem. Dzień i noc myślałem, w jakiby sposób odpłacić mu ona krzywdę. Jużem był ułożył plan odwetu, gdy rozmyśl podsunął mi, do ucha wyraz:— Zdrajca...—Wielka była boleść moja, wszakże... gdybym mszcząc ją miał zyskać miano zdrajcy, znieważyłoby mnie to niemniej boleśnie. A któżby inaczej odezwał się o mnie? Zaniechałem tedy myśli krwawej, szukając innej drogi. Chciałem zwyciężyć siebie samego, zagłuszyć pamięć nieszczęścia, oziębic to głupie serce, w lód je zmienić, w kamień... Dobrawszy poczt z czeladzi, wyruszyłem w świat, zapomnienia szukać. Przeplýwałem hen... morze szerokie, przechodziłem puszcze piaszczyste, rzeki przebywałem wartkie, grody zwiedzałem wspaniałe... Wszystko napróżno. Krzywda wszędy goniąc, za mną szła, trapiła, dręczyła, paliła i żarła...

U grobu Chrystusowego ofiarę z żalu mego składałem, składałem ją i w starym Rzymie... Na dworze króla Franków w turnieju

najdzielniejsze rycerstwo zwalczałem, zyskując sławę głośną...

Spokojum nie zyskał.

Wciąż mi przed oczyma stała ona umiłowana a niewdzięczna, zawsze, jak wschodzący ranek wiosenny, piękna.

Do kraju ciągnęło mnie coś nieprzeparcie. Co? Alboż wiem. Córkę maleńką, którą odbiegła niedobra matka, zawdym przy sobie miał, cóżbym więc w kraju rodzinnym znalazł, co by mnie wiązać z nim mogło? Wańko nadto za głowę moją cenę naznaczył, bo mu zauszniokowie podszeptali jako na życie jego dybie, na każdym tedy miejscu czekała mnie tu chciwa ręka szpiega... Anom wytrzymać nie mógł. Zateśkniłem za lasami naszymi, za onemi pieśniami ptaków, za słowem ojczystem...

Wróciłem.

W Skrzypnie osiadać nie mogłem, zresztą z gródka nie zostało śladu. Zniszczono mi sadybę, kamienia nie pozostawiając. Tedy czas długi tułałem się po kraju, jak sierota bezdomny. W Krakowie siedział, z Łokciem na Krzyżaki chadzając, w Kujawach nieco, w Kaliszu... aż tu oto, pod Płockom ściągnął i grodekem wzniósł, obrawszy zacisze. kędyby mnie oko ludzkie nie dojrzało.

Umilkł nieco.

— I siedzieć tu zamýślasz wciąż? — zagadnął Andrzej.



Dopóki sposobności nie znajdę, abym mógł chociaż w drobnej części ducha zemsty zadowolić — odparł ponuro Zbyszek. — Ja muszę, słyszysz wojewodo — muszę krzywdę moją ukarać, muszę odwet zyskać, bo inaczej spokoju i w grobie nie zaznam!

Gdy to mówił, był strasznym. Policzki mu płonęły gorączkowym rumieńcem, z oczu tryskała nienawiść, groźba.

— Co chcesz poczynąć? — przerwał mu Andrzej. — Bacz na głowę własną, na dziewczę, którą sierotą ostawisz.

— Co pocznę — nie wiem. To jeno wiem, że doczekam chwili, kiedy Wańce będę mógł bryznąć w oczy szyderstwem, a zauszniczka jego, Zarembe, który mu myśl krzywdy podsunął, w ręce dostać i serce mu z podłej wydrzeć piersi. Przyjdzie ten czas, obaczysz wojewodo.

— Ale dziewczka! dziewczka?!

— O nią bezpieczny jestem. Chociażby do klasztoru ją oddam. W Krakowie siostra rodzona ksienia jest, tam ją zawiozę.

Obaj, głowy pospuszczawszy, w zadumę popadli.

— Dosyć o tem — przerwał milczenie Zbyszek. — Teraz o naszej sprawie, wojewodo. Łotrzyków należy wybadać i dowiedzieć się, komu życie wasze tak niemiłe.

— Boga na świadka wzywam, żem się nikomu na złe nie zasłużył — na to Andrzej.

— O tem mówić nie potrzebujecie, wszelakoż łotrowie byli przez kogoś nasłani. Rzecz oczywista. Pójdźmy do nich, a dowiemy się prawdy.

Wyszli przed dom, w dziedziniec, gdzie ujęci zbóje, Hans Żółty i Pietrzyk, stali z rękoma skrępowanemi, otoczeni czeladzią Zbyszka.

— Kto was na moją głowę nasłał? — surowym głosem zapytał Andrzej. — Mówcie prawdę czystą, jak owo na sądzie Bożym.

Pietrzyk oczu nie śmiał podnieść, Hans miną czelnie nadrabiał.

— A wam co z tego? — rzekł butnie. — Nie udało się nam, uda innym. Po co wam wiedzieć, kto obmierzył was sobie? Jest taki, ba! niejeden. Prędzej czy później sprzątnie was, wojewodo, abyście mu w drogę nie leżli...

I śmiał się.

Zbyszek pochwycił go za gardło i cisnął gwałtownie.

— Zbójku plugawy, urągać śmiesz jeszcze...

— Wszystko mi jedno teraz — szyderczo odparł Niemiec. — I tak i tak życie dam. Tajemnicy naszej nie zdradzę, bo mi to korzyści nie przyniesie.



— Na gałąź z nim!! — krzyknął oburzony Zbyszek. — Sam się doprasza o rychłe wyprawienie do piekła.

Rzucili się ludzie ku Niemcowi, lecz Andrzej wstrzymał ich.

— Ostawcie go. Do Płocka obadwaj pójdą, tam sąd na nich uczynię. Samowolnie rozporządzać się nie chcę. Mistrz wyznanie prawdy męką z gardła im wyciągnie.

W oczach Niemca zamigotała radość, którą wszakże ukrył wnet.

— Strzedz mi ich pilnie — kończył wojewoda — niezadługo wyruszę.

Scenie tej przypatrywała się Halka, stojąc na przedsieniu. Figlarną, wesołą zawsze twarzyczkę powlókł surowy wyraz, słuchała odpowiedzi lotra z widoczną zgrozą. Gdy Zbyszek z Andrzejem wracali do izb, nie ustąpiła z drogi, przeciwnie, stanęła naprzeciw.

— Wyście wojewoda płocki, ojciec Jaszka? — spytała.

Conał się nieco Andrzej, zdziwiony tem nagłym pytaniem.

— Albo co? — zagadnął, domyśliwszy się odrazu, że ma córkę gospodarza przed sobą.

— Rycerz nielada z waszego syna — szczebiotała niby poważnie. — Dzielny mąż, wiele o nim słyhać.

— Znasz go tedy, piękna dziewczko?

— Inaczejbym nie pytała. Był tu u nas niezbyt dawno i obiecał zajrzeć znowu. Przypomnijcie mu o tem, będziemy radzi go widzieć...

— Zawsze się wyrwiesz z niewczesnem słowem — fuknął Zbyszek. — Nie godzi się dziewczkom pleść od rzeczy. Wstydu mi przyczyniasz.

A wojewoda przyciągnął do siebie dziewczę, objął ją, w czoło pocałował.

— Nic mi Jaszko nie wspominał, że tak śliczny kwiateczek poznać mu się udało — rzekł, w oczy jej się wpatrując.

— Żle zrobił — krótko odparła.

— Ma on swój rozum i może przeczuł... że poznać cię mi przyjdzie...

— Chodźmyż do izby, wojewodo — przerwał Zbyszek. — Z nią się nie dogadacie.

— Zazdrosnyś o córkę? — uśmiechnął się Andrzej. — Ha... kto wie... może też masz po temu słusność.

Raz jeszcze pocałował Halkę, dodając:

— A rośnijże nam, ptaszko, na pociechę... niechaj cię Bóg od wszelkiego złego ustrzeże...

---

## IX

W niewielkiej, lecz wygodnym sprzętem zaopatrzonej izbie, siedział O. Wincenty, nachylony po nad skrawkami pergaminu, na których



trzcina, w farbie maczana, kreślił listy jako-  
weś. Musiały one być niemałej wagi, bo drzwi  
pozaszczepiał ostrożnie, aby niewczesny gość  
w pracy mu nie przeszkodził...

Jakoż ważne listy owe były, przeznaczył  
je bowiem O. spowiednik dla wielkiego mi-  
strza Krzyżaków, Wenera de Orsele.

Trza teraz powiedzieć, kto zacz istotnie  
był ten tak wpływowy na dworze mazowiec-  
kiego pana człek.

Kapłańską suknią się okrywał, atoli nie-  
wiadomo napewno, czy rzeczywiście miał  
prawo ją nosić. Chociaż w sztuce pisma  
i czytania wyćwiczony i z praktykami kościel-  
nemi znajomy, wszakże gdyby kto zechciał  
baczniej w przeszłości jego się rozejrzeć... nie-  
wiadomo, czyby matactwa szpetnego w tej  
mierze nie doszedł. To stwierdzić można, że  
mnich ów naślany był przez rycerzy zakon-  
nych na dwór mazowieckiego pana, aby im  
służył za ucho i rękę. Szpieg więc, nic inne-  
go. Że ku temu wybrano człowieka niezwy-  
kłe zręcznego, to się samo przez się rozumie.  
Krzyżactwo przecież słynęło z podstępności,  
a lada kogo do swych usług nie przyjmowało.

Mnich Wańka zaufanie potrafił zyskać,  
a większe jeszcze księżnej Anny. Pomiędzy du-  
chowienstwem polskim miru nie miał. Biskup  
go unikał, cierpko zbywał zawsze, znosząc je-  
dynie przez wzgląd na księcia. Nie zjednał też

sobie miłości i przyjaźni ziemian, ani dwo-  
rzan, ani ludu. Bano go się i niecierpiano...  
Wańko, on Srogі Wańko, którego gwałto-  
wność znali wszyscy, był mu tarczą ochronną.  
Inaczej nie utrzymałby się we dworze. Nie-  
mieć duszą i ciałem, oddany był swoim aż do  
podłości. Wszelkie uczucia szlachetne zatarł,  
wygubił, jeno żył myślą zaprzedaną Krzyża-  
kom i niecnym planom swego szczepu. Gwoli  
temu poświęcał rad wszystko... W onem ciel-  
sku, uzewnętrzniającem postać ludzką, żył tyl-  
ko Niemiec, Krzyżak chciwy, drapieżny, pod-  
stępny, przeniewierczy.

Zajętego pisaniem listów śmiano przecież  
zaniepokoić; ktoś gwałtownie do drzwi jął stu-  
kać, i to niecierpliwie, jakoby do tego miał  
słuszny powód.

Mnich niechętnie rzucił trzcinę, pergami-  
nowe skrawki nakrył wielką księgą, zaczem,  
nie spiesząc, szedł ku drzwiom.

Owym gościem niespodzianym był Za-  
ręba.

Wszedł do celi pospiesznie, wylekły, drzą-  
cy, wzrokiem niepewnym orzucił mnicha; koł-  
paka nawet zdjąć zapomniał, tak mocno był  
wzburzony.

O. Wincenty przypatrywał mu się  
z uwagą.

— Cóżże taki? — spytał. — Rzadko cię



widzę do tyła wzburzonym. Stało się co? Mów?

Padł na ławę Zaręba, odetchnął mocno, głowę opuścił, szepcząc urywanym głosem:

— Wojewoda żyw i zdrów wrócił. Za nic wszystko...

Nogą szybko o posadzkę przytupywał.

Twarz mnicha posępny przybrała wyraz; podniósł ręce, dłonie zacisnął w pięście, lecz wnet opanował poryw gwałtowny.

— Nic nie rozumiem — rzekł.

— Ja tyle jeno rozumiem, że z nami źle być może — przerwał gorączkowo Zaręba. — Zdrów i cały wrócił, nie udało nam się... Pietrzyk i Hans pojmani, tamten trzeci pono padł na miejscu... Pomoc staremu ktoś dał wczas, tak, że ocalał...

Garścią rwał brodę rzadką.

— Więcej nie wiesz? — pytał mnich zasepiony.

— Nie wiem. Cóż więcej wiedzieć potrzeba? Powrócił cały, wiodąc ze sobą naszych w pętach.

Mimo silnego wrażenia, jakie wiadomość ta wywarła na mnichu, ten przecież zimną krew utrzymać potrafił. Każde słowo faworyta książęcego ważył w umyśle, licząc, co ono istotnie jest warte.

— Któż mu dał pomoc? — zagadnął przemilczawszy.

Zaręba szeroko rozwiódł ramiona.

— Nic jeszcze nie wiem. — odparł. — Dostyc nam, że stary żyje. Sam Pietrzyka i Hansa przywiódł i księciu ich zdał, prosząc o sąd przykładowy. Zginęliśmy więcej niż pewnie. Na męki wezmą obydwóch, wtedy języka nie wstrzymają... Uciekać nam chyba, ile sił...

Łamał ręce temi gorączkowemi ruchy, które zdradzają ostateczną trwogę.

— A Wańko? — badał mnich.

— Z oczu mu zemknąłem — na to Zaręba. — Pono wierzyć nie chciał, wścieka się, pieni, rzuca... W zwykły sobie szal popadł. Do was spieszyłem, aby uprzedzić nieszczęście... Najlepiej, nie czekając, — ująć, na zamek zagładać nam niezdrowo. Radźcie zresztą.

— Pozbądź się niepotrzebnego strachu — oschle i surowo przemówił O. Wincenty. — Nie godzi się na duchu upadać wtedy, gdy się krok fałszywy stąpi. Wstyd to dla męża.

Kilkakrotnie po izbie się przeszedł, stanął u okna, zapatrzył się w błony, któremi było zaciągnięte, mruknął coś, wreszcie bez oznaki niepokoju, znowu z pytaniem do przygnębionego Zaręby się zwrócił:

— Wańko pojmanyh badał?

— I to mi nie wiadomo. Zostawiłem go razem z wojewodą. Strach było słuchać, w jaką wpadł wściekłość.

— Księżna matka wie już o tem?



— Niewątpliwie. Miasto całe wre z gniewu i oburzenia. Wieść o zamachu rozeszła się, niby błyskawica, szybko... Lud zbiega się ze wszystkich stron. Strach, co się dzieje!!

— Chodźmyż na zamek — rzekł O. Wincenty, suknię opinając. — Nie godzi nam się kryć, gdy tak ważne zaszły wypadki.

Zaręba z niedowierzaniem na mówiącego spojrział.

— Na zamek? — powtórzył.

— Chodźmy — potaknął mnich. — Nieobecność nasza na złe wyjść może. A nuże... ośmielże się i zaufaj mi. Nigdy nie myślał, iżbyś tak mało serca posiadał.

Wahał się Zaręba.

— Na śmierć idziem — szepnął. — Wańko o wszystkim może już wie...

— Zostań, gdy chcesz, lecz pamiętaj, że źle na tem wyjdiesz — groził mnich. — Kryjąc się, wskazujesz na się sam.

— Było mi ręk nie przykładac do tej sprawy! — cicho westchnął Zaręba.

Usłyszawszy to, mnich roześmiał się szczerzo.

— Żal po niewczasie — rzekł. — Zdalekośmy zaszli, aby można wstecz się cofać. Śmiało, śmiało, zaufaj mi, powtarzam. Strachy zostawmy podwikom i dzieciakom.

Nakazując głową skinął, Zaręba wolnym krokiem, ociężale z miejsca ruszył.

Po drodze spotkali gromady ludzi, rozprawiających żywo; na wszystkich twarzach malowało się oburzenie... z ust okrzyki wybiegały, zaciskano pięście groźnie.

— Na pal zbójów! — wołano.

— Pasy z nich drzeć!

— Na ogniu piec żywcem!

— Dajcie ich tu nam!!

— Ubić, umęczyć...

Zaręba trącił łokciem mnicha, ten surowym go skarcił wzrokiem.

— Chceszli żywym być, zastanowienie miej — szepnął.

Książe w sypialnej izbie swojej siedział, miotany gniewem szalonym. Nie lubił on Andrzeja, jawnie mu to okazywał, wszakże dla jego cnót wielki miał szacunek. Zbrodniczy zamach równie, jak wszystkich, go oburzył.

— Dobrze, żeś przyszedł Ojczy — zawołał, spostrzegłszy wchodzącego mnicha. — Słyszałeś zapewne, co się stało?

— Opowiadał mi Zaręba — rzekł O. Wincenty zwykłym sobie, spokojnym tonem.

— Nie do wiary, niesłychana rzecz! — przerwał Wańko, bijąc czoło dłonią. — Zamordować starego chciało, ubić...

— Kto obwiniony?

— Kto? Nie wiem jeszcze. Andrzej oca-



lał cudem prawie... Z trzech nasadzonych zbójów jednego ubił, dwóch przywiódł tu.

— Gdzież oni?

— W lochu sądu czekają. Ukarać ich trzeba przykładnie. Zeznać muszą, kto ich nasłał, kto podmówił... Z gardzieli im mistrz prawdę wyciągnie.

Swobodniej odetchnął mnich dowiedziawszy się, że jeszcze nie przystąpiono do badania zbrodniarzy.

— Cóż to za ludzie? — dopytywał uspokojony.

— Ludzie moi, słyszysz Ojczy, moi! — porwał się Wańko na nogi. — Stąd baśń wytworzyć kto może, że nasłani przeze mnie, a tego... nie chcę. Ze starym się swarzyłem, darłem, ale życie jego i głowę cenię. Nie chcę, iżby posadzono mnie. Boże broń, iżbym o czemś podobnem się dowiedział... Solą mi w oku był Andrzej i jest, wszakże wierność mi chował i chowa. Bieda tym, którzy na życie jego dybali. Z pod ziemi ich wydobędę, wynajdę, chociażby się kryli nie wiedzieć gdzie... Biada im!!

Musiał umilknąć na chwilę, tak srodze się wzburzył.

— Wojewoda między nami nieprzyjaciół nie miał — powoli wycedził O. Wincenty. — Na myśl mi nie przychodzi, komu by życie jego było niepotrzebnem...

— Rychło się o tem dowiemy — szybko podchwycił Wańko. — Sąd odbyć się musi jawnie, kara winna być głośną. Ktokolwiek miałby się sprawcą zbrodni okazać, sprawiedliwą odbierze zapłatę, Tak należy, tak musi być!

— A wojewoda sam gdzie?

— Na zamku jest. Przed chwilą wyszedł stąd.

— On nie posądza nikogo?

— Nic mi nie wspominał. Prosił o sprawiedliwość, otrzyma ją. Należy mu się ona ze wszech miar.

Zostawiwszy Zarębę u księcia, O. Wincenty pospieszył ku lochom, gdzie umieszczono winnych zbrodni przestępców.

Znajdowały się one po za lewem skrzydłem zamku, w dziedzińcyku dobrze owarowanym. U drzwi teraz postawiono straż liczną.

Do lochów onych schodziło się wązkimi schodami, głęboko w ziemi osadzonemi. Po za niemi znajdował się korytarz równie wązki — z obu zaś stron tego one straszne lochy, których sama nazwa dreszcz trwogi wywoływała u ludzi. Były to jamy wprost w ziemi wyryte, ciemne zupełnie, stropione deską o tyle, iżby się nie zawałyły. Wilgotne ściany grzybami porośły, powietrze stęchlizną było przesiąknięte, tak, że ledwo oddech pod-



trzymywało. Aby się dostać do jamy takiej, należało wprzód drągi ciężkie odwalać, któremi drzwi warowano — zamków bowiem mało używano naówczas.

O. Wincentego prowadził do więźni Krzywda, stary dozorca tych wstrętnych kaźni, trzymając smolną pochodnię w ręku. Odwaliwszy zapory, mruknął coś niezrozumiałego, pochodnię mnichowi oddał, drzwi otworzył, sam do wnętrza nie wchodząc.

Na ziemi, kilkoma garściami słomy zgniłej i cuchnącej zasłanej, siedzieli Pietrzyk i Hans. Ujrawszy światło posępne, zwrócili oczy ku niemu. Hans, poznawszy przybyłego, powstał żywo, twarz mu się rozjaśniła, ręce wyciągnął.

— Byłem pewny, że przyjdziecie! — zawołał.

Mnich palec do ust przyłożył, milczenie nakazując, drzwi zamknął, poczem rzekł cicho:

— Ani słowa! Bądźcie dobrej myśli. Nie pozwolę, aby wam co złego uczyniono...

Hans skwapliwie rękę mu jął całować. Pietrzyk milczał, nie podniósłszy się nawet z miejsca, jak gdyby obietnica go nie obeszła.

— Kto mu pomoc dał? — cicho dopytywał mnich. — Jakim sposobem ocalał?

— Bies nasłał pomoc ową snąć — również cicho odparł Hans. — Ziemianin jakiś do-

statni zjawił się właśnie w tej chwili, gdyśmy kończyć z nim mieli.

Rozpowiedział cały przebieg zamachu.

— Któż to był?

— Kto tam wie? Pierwszy raz go widziałem na oczy. Nieopodal Płocka na gródku swoim siedzi...

— I ty go nie znasz? — zagadnął O. Wincenty Pietrzyka.

Ten przez chwilę milczał.

— Nie znam — odparł z pewnem wahaniem.

— Dziwna rzecz! — zastanowił się mnich. — Pod Płockiem mieszka, mówicie?

— Pół dnia drogi najwięcej.

Zamyślił się mnich, głową pokręcił.

— Dziwna rzecz — powtórzył. — Ano... bądźcie spokojni. Zginać wam nie dam, dziś w nocy wolni będziecie.

Wyszedł, omijając błotniste kałuże, które poczyniła woda, ze ścian spływająca.

A na zamku roilo się od ludzi. Dziedzieniecapełniały tłumy, wciąż jeszcze zostające pod wrażeniem zbrodniczego zamachu. Każdy rad był się dowiedzieć prawdy ze wszelkimi szczegółami, ale to tylko powtarzano, że pana Andrzeja chciano zamordować i że szczęśliwie ocalał.

Krażyły też rozmaite domysły, co do pobudek zamachu... Ten i ów Krzyżaków wspo-



minal, lecz w głos o tem mówić nie śmiano. Największe grono zebrało się naokoło Procy, który na każdą próżną od piwa się wdrapał i wesołe krotochwile prawił. Był dziś osobliwie dobrego humoru, to też śmiano się z jego ucinków i trefnych żartów szalenie.

— Nie wierzcie — mówił — iżby na życie wojewody naszego kto miał godzić. Fałsz jest wierutny, jako mnie tu oto żywym widzicie. Pan Andrzej człek dat niemłodych i do tego niewiele w nim rycerskiego ducha, cóż dziwnego, że ludzi nieznanych spotkawszy, nagle uląkł się, za zbójów ich biorąc? Ja zaśie powiadam wam, nie zbóje to byli, jeno wielkiej poczciwości dusze, które wysłano, aby grubego zwierza upolować.

W tej chwili właśnie tuż przechodził mnich, którego Proca dojrzawszy, ile głosu stało, jął wołać:

— Jeżeli słowom moim taki a taki synie nie wierzysz, spytaj oto wielebnego O. spowiednika, człowieka wszelką mądrością okarmionego, a on ci zaświadczy, jako prawda moja.

Usłyszawszy Procę, mnich zaciął usta. pochylił się, chyłkiem przemykając; lecz wesolek zeskoczył z kadzi, pobiegł ku niemu i nuż całować suknie jego, pokorę wielką okazując.

— O. wielebny — mówił — rzeknijcie oto do tej hołoty słowo, bowiem jako bydło nierozumna jest gromada. Tłumaczę im pięknie. gadam, że fałsz jest, iżby kto wojewody życia potrzebował, ano... śmieją się ze mnie wsze-teczniki, za co niech ich Bóg skarże.

Szarpnął suknię mnich, szedł dalej, niby nie słuchając krotochwil.

Ale Proca, jak pijawka, przyłgnął do niego.

— O. wielebny — wzrzeszczał umyślnie na cały głos—oto użyczycie mądrości waszej, niechaj ona te zakute łby jasnością swoją oświeci. Rozpowiedzcie o przygodzie pana Andrzeja, przecież wy najlepiej całą sprawę znacie...

Mnicha słowa Procy kłuty, niby żądło osy; gdyby mógł, zdusiłby złośliwego wesoleka, zgniótłby go, zmiażdżył na miejscu..

— Ojcie... — półgłosem jął naszeptować natręt — lichu z nami... Nie udało się... chociaż tak pięknie i sprawnie urządziliśmy rzeczy. Zmykaćby nam za jaką dwudziestą granicę, bo skoro się dowiedzą ludziska, rozszarpać gotowi...

— Trzymaj za zębami język, błaznie! — szorstko przemówił mnich. — I krotochwila miarę przebrać może...

— My z wami, Ojczusiu, nigdy się nie rozumieamy. Szczera wam daję radę, a wy jej



słuchać nie chcecie. Ejże... powtarzam raz jeszcze: zmykajmy stąd, póki czas... niezdrowy wiatr powiał, może nas bodaj o szkodę przyprowadzić.

Rozśmiał się szyderczo, pokłonił w pas, czapeczkę zdjawszy i znikł w tłumie.

Już dobrze wieczór zapadł, a tłumy ani myślały się rozchodzić z dziedzińców zamkowych. Ludzie nie mogli się dosyć nagadać o przygodzie wojewody. Powtarzano ją sobie setki razy, coraz to z nowymi zmianami... Nagle tłumy te zawrzały, zakotłowały się. Na dziedziniec wpadł jeździec, cały zdyszany, na koniu spienionym, wołając głosem wielkim:

— Do broni!! Do broni!!

Skupiono się około niego.

— Co się stało? — dopytywano.

— Łokieć dwoma szlakami na nas wali...

Kraj cały w ogniu... Siłę prowadzi z sobą nieprzeliczoną... Bez miłosierdzia niszczy, co napotka... Pułtusk spalony znów... Gdzie przejdzie — jeno ziemię równą ostawia...

Tłum oniemiał.

— Lasami się przedarł i nagle zjawił u nas — mówił jeździec. — Pędzi szybko, jak wiatr... Do broni... ratuj życie, kto może!!

Jakby na potwierdzenie tych słów, na niebie zabłyśły łuny szkarłatne...

— Łokieć! Łokieć!! — wydarło się z piersi zebranych.

— Ratujmy się...

— Do mieczów! Do oszczepów...

Trwogą ogarnięci — rzucili się przygotowywać do obrony. Zewsząd dolatywały okrzyki.

— Łokieć... Łokieć idzie!!

A niebo coraz jaskrawiej płonęło, odbijając na sobie obraz rozpacz i klęski.

---

## X

Hufce Łokietka oszczędziły tym razem Płocka. Od Bielska cofnęły się z powrotem równie szybko, jak przyszły. Wańko pogoń za nimi wysłał, ale ta powróciła, nic nie zdziaławszy. Krakowski pan pomścił się za przymierze, w Brodnicy przeciw niemu zawarte, przemieniając szeroki szlak, którym kroczył, w ruinę...

Zgliszczą, popioły, rumowiska, jęk ludu — oto co po sobie zostawił.

Ta nowa napaść, rodzaj groźby i przestrogi, zamiast opamiętać, więcej jeszcze rozwściekliła księcia na Płocku. Do wielkiego mistrza Krzyżaków w te pędy wysłał gońce, aby ten, stosownie do umowy, wojska gotowe miał do najazdu na dzierżawy Łokietkowe.



Spodziewał się niemniej pomocy od Luksemburczyka, którego również zawiadomił o krzywdzie, przez znienawidzonego nieprzyjaciela (za takiego Łokcia uważał) wyrządzonej.

— Przebrała się miarka bezprawia onego tułacza! — groził. — Koniec z nim zrobię, w proch zetnę... wyżenie z kraju precz!

Zapomniał nawet o zamachu na wojewodę, dopiero mu Proca żartobliwie myśl o tem podsunął.

O. Wincentego przywołać tedy kazał.

Posłany Zaręba wrócił pomieszany i strwożony. Powiedziano mu w klasztorze — że mnich znikł, kilka dni już ani o nim wiadomości.

Zastanowiło to Wańkę.

— Co to może być? — zapytywał sam siebie. — Gdzieżby się podział?

Nikt nie umiał na to pytanie odpowiedzieć.

Przypuszczał Wańko, że ważne powody zmusiły mnicha do nagłego wyjazdu, chociaż nigdy się nie zdarzało, iżby wyjeżdżając, nie uwiadomił kogo. Sprawa wszakże rychło się wyjaśniła, gdy rozkazał Zarębie więźniów do badania sprowadzić.

Napróżno faworyt pański szukał Krzywdy, aby mu lochy otworzył i więźniów zdał... stróża więziennego również nie było. Nie mo-

gąc go się dowołać — kazał drzwi do lochów prowadzące wywalić.

To, co zobaczył w podziemiach, grozą go przejęło: na ziemi leżały dwa zastygłe trupy... Hansa i O. spowiednika. Oczom nie dowierzał — tak nieprawdopodobnym był widok...

Długi czas się ociagał z zanieśieniem księciu tej wiadomości; gdy stanął przed nim, drżał, słowa nie mogąc wymówić.

— Cóżś taki? — spytał go Wańko, uważnie badając wzrokiem.

— Miłościwy mój panie... smutną i straszną nowinę przynoszę — odparł faworyt.

Brwi srogiego pana zsunęły się, czoło zmarszczyło.

— Mów — rzekł.

— Krzywda... niewiadomo gdzie się podział — lękliwie bąkał Zaręba — a więźniowie...

— Uciekli?! — przerwał Wańko.

— Pietrzyk uciekł... W lochu znaleźliśmy Hansa trupem już i...

— I?!

— I O. spowiednika, również bez życia.

— Co ty mi za baśnie prawisz?! — krzyknął Wańko. — Jak śmiesz coś podobnego mówić...

Zaręba głowy uchylił.

— Prawdę mówię — szepnął.



Książę cofnął się, wpatrzył w mówiącego, jak człowiek ze snu nagle obudzony.

— O. spowiednik, powiadasz?... — zapytał.

— Zamordowano go — potwierdził Zareba. — Uduşono, to znać wyraźnie...

— Nie może być! Nie może być!! — wybuchnął gniewem książę. — Kto śmiał, kto się odważył na coś podobnego?!

Za ręce chwycił faworyta i szarpał nim roznamietniony.

— Ano... prowadź mnie na miejsce tej fowej zbrodni — mówił po chwili. — Prawdy dobadać muszę. Nigdy dziwów takich nie było pod mojem okiem. Wszystko to wyjaśnić i zrozumieć trzeba... Prowadź tam!...

Za księciem podążył liczny orszak dworzan, zwabiony wieścią niespodzianą o zamordowaniu O. Wincentego.

Długo opatrywał ciała martwe Wańko, słuchając rozmaitych zdań, jakie wygłaszali otaczający go dworzanie. Mord był nadto widocznym — na to się zgadzano powszechnie, sprawa jednak cała przedstawiała się dziwnie ciemno. Nikt nie śmiał wyrokować o niej.

Powróciwszy na zamek, złożono natychmiastową walną radę, mimo to nie zdołano wpaść na trop tej zagadki. Rozwiązać ją mogli Krzywda i Pietrzyk tylko, dlatego też ro-

zesłano na wszystkie strony gońców, których obowiązkiem było ogłaszać wszem i w obec o ucieczce dwóch zbrodniarzy i nakazywać ich pojmanie. Na głowy ich Wańko naznaczył cenę, aby tym sposobem pobudzić ludzi do współdziałania.

Atoli jeszcze jedna niespodzianka czekała Wańkę. Po ukończeniu rady, która do wieczora niemal się przeciągnęła, oznajmiono mu, że niewiasta jakaś o posłuchanie w pilnej sprawie prosi. Jakkolwiek niechętnie, kazał ją jednak przywołać książę.

Była to Pietrzykowa.

Skoro ją wprowadzono, rzuciła się na kolana przed panem, z płaczem i lamentem.

— Miłościwy mój, — daruj nieszczęśliwej... oszczędź życia... jam temu niewinna! — wołała łkając i za nogi go obejmując.

Zdziwiony słuchał tych prośb książę.

— Czego chcesz? Z czemżeś przyszła?! — pytał niecierpliwie.

— Niewinnam ja, panie nasz złocisty — płakała Pietrzykowa. — Sama nie wiem, kiedy i jak się to stało. Jak oka w głowieśmy ją pilnowali, ano... chwilę sobie upatrzyła...

Wańko silnym ruchem na nogi ją postawił.

— O kim mówisz? — zawołał przecuciem tknięty. — Tyś Pietrzyka żona? Nie takli?

— Jam sama jest, słonko nasze, panie najlepszy... jam to, nieszczęśliwa i łaski waszej



niegodna... A! oszczędźcie mi życia, bom bez winy...

— Zozula? — przerwał Wańko pytająco.

— Bogdajbym jej nigdy nie zaznała. Dnie mi nocą piliłam tej niewdzięcznicy, aż oto... potrafiła ująć...

Tego nadto było dla Wańki. Zachnął się, dłońmi czoło ujął.

— Ona... ona uciekła?! — krzyknął.

— Rankiem jej już nie zastałam — tłumaczyła się Pietrzykowa. — Znać w nocy chwilę sobie upatrzyła i mimo baczności mojej, dostała na świat...

— Kłamiesz, kłamiesz ladacznico! — zawołał książę w najwyższym szale gniewu. — Samaś ją puściła, sama wyprowadziłaś... Zapłacili ci za to, złota dali... Mów, kto się wazył, kto śmiał zdradliwie przeciwko mnie stać? Mów, albo pożegnasz życie...

Przerażona kobieta ręce łamała.

— Nikt mnie nie podmawiał, nikt nie płacił, bobym za nic w świecie was, panie miłościwy, nie zdradziła. Ona sama dawno już postanowiła precz iść.

— To nieprawda, fałsz! — przeczył Wańko. — Hola... Zaręba... na męki tę wiedźmę wziąć! Niechaj mistrz ją do zeznania skłoni. Bez zmiłowania, bez litości! Niech wyzna, kto ją namówił, kto opłacił, kto do zdrady skłonił...

— Panie miłościwy, niewinnam jest! — jęczała Pietrzykowa.

— Do mistrza z nią, na koło!! — nie słuchał książę, trzęsąc się z gniewu. — Zaręba... prowadź ją natychmiast... Ja sam wnet tam zejść...

Nie pomogły perswazyje księżnej matki i niektórych panów rady, Wańko jedno i toż samo wciąż powtarzał:

— Prawdę wyznać musi, musi zdrajcę wskazać, inaczej nie może być!

Gniew opanował go zupełnie, zaćmiewając wszelkie inne uczucia.

W dolnej izbie wschodniej baszty zwykle sprawiano się ze zbrodniarzami, próbując ich torturą. Z jednej strony, pod ścianą, stał stół i ławy dla sędziów, którzy zwykle przy tej smutnej sprawie byli obecnymi; drugą połowę zajmowały przeróżne narzędzia, dziwnych kształtów, a dziwniejszego jeszcze użytku. Do tej to sali wprowadzono Pietrzykową, za nią weszli Wańko, Zaręba i kilku z dworu.

Wnet zjawił się i mistrz, człek istny olbrzym, tak na twarzy zarosły, że ledwie mu oczy widać było. Posiadał widocznie siłę wielką, świadczyły o tem muskuły wydatne, jakby nabrzmiałe. Dzika to była postać, wstrętem i zgrozą przejmująca. Patrzył ponuro, z podełba na ludzi, ruszał się ociężale, a milczał zwykle, jak gdyby mowy pozbawiony.



Spostrzegłszy ofiarę, straszny ten człowiek wyciągnął ku niej ręce, pochwycił z nie-tajoną chciwością.

— Wyznaj dobrowolnie wszelką prawdę— upomniał Pietrzykową Wańko. — Skoro to uczynisz, zwolnię cię od mąk.

— Nie wiem o niczem, wyznałam prawdę, jak było — tłumaczyła się nieszczęśliwa. — Zmiłujcie się panie, ulitujcie...

Skinął Wańko na mistrza — ten praktykę swoją rozpoczął.

U stropu sali wisały sznury, onemi ręce skrępował ofierze, uczepił ją do nich, następnie innemi sznurami omotawszy, nogi jej ciągnął ze wszech sił do ziemi.

Trzask wyciąganych ze stawów kości, a za tym przeraźliwy krzyk nieszczęśliwej — rozległy się w ponurej sali.

— Litości, panie miłościwy... wyznam, co chcecie! — błagała.

Wańko dał znak — mistrz opuścił na ziemię ofiarę, która padła bez zmysłów.

Dano jej wody — oprzytomniała.

— Wyznaj tedy — domagał się nieugięty Wańko.

— Niewinnam jest, na Chrystusowe rany się klnę... — jęczała Pietrzykowa.

— Znowu to samo? — syknął książę, gryząc wargi do krwi. — Ano...

Na mistrza skinął powtórnie — ten rozniecił żar, płytę żelazną weń wsunął. Po chwili płyta rozpalila się do czerwoności. Mistrz z obezwładnionej kobiety suknię do połowy ściągnął, pomocników swoich wezwał, aby ją podtrzymywali, sam wyjął żelazo z żaru, do grzbietu ofiary przyłożył, prowadząc je od karku aż do pasa.

Nie jęk — lecz ryk dziki, rozdzierający serce, wydarł się z piersi nieszczęśliwej... Było w nim coś strasznego... nieludzkiego.

— Wyznaszże teraz prawdę? — spytał Wańko.

Odpowiedzi nie było.

— Zbrodniarka to zakamieniała — szarpał brodę Wańko. — Niechaj ginie, skoro w uporze swoim wciąż trwa.

Już miał mistrz do następnych, cięższych jeszcze mąk przyjść, gdy mu jeden z pomocników coś szepnął półgłosem. Zbliżył się wówczas do Pietrzykowej, ucho do jej piersi przyłożył...

— Już po niej — rzekł, zwrócony do księcia. — Szkoda czasu na próby...

Wańko chwilę patrzył na trupa, podtrzymwanego przez pacholców mistrza.

— Tak wszystkim zdrajcom będzie, taki ich koniec! — odezwał się surowo.

Wolnym krokiem opuścił przybytek męczarni.

Wańko Srogi.



## XI

Zapowiadała się światu wiosna, a zapowiadała rzadko pogodnie i pięknie. Ludzie, znękani długimi laty klęsk, nieszczęść, bied przeróżnych, witali ją z ożywieniem, z jakąś nadzieją, otuchą lepszej doli. Tyle wszak czasu przetrwali pod jarzmem nieszczęścia, tyle przecierpieli... nuż latko dosie co innego przyniesie, nagrodzi chociaż w drobniutkiej części niedolę czarną. Boć i łzy się wyczerpały, i cierpliwości zbrakło... Nie żyć w opałach takich.

A dosie oznajmiało się ponętne. Słońce śmiało się do ludzi, mrugając złotą rzęsą, powietrze napełniały istne balsamy, płynące z rozkwitających pęków kwiecistych... Z pod białego śniegu trawki zielone rzeźwo podnosiły czołka, jaśniały wśród tej drużyny zielonej pierwiosnki srebrne, złote łotocie, jerzyki kraśne i ostrokwity o niebieskich, niby lazury, oczkach. O południu i pszczołka zabrzęczała, żuczek tęgoskrzydły zahuczał... nieśmiało nuciła muszka, próbując po śnie długim mocy delikatnych skrzydełek. Na liściach co rano perliły się rosy, świecąc blaskiem kamieni drogich... białe koszulki brzoź skrapiały się sokiem wonnym, chciwie przez ptaszki zbieranym... Budziły się po kniejach maruchy, oblizywały łapy, porykiwały, niby witając nowy dzień

żywota; za niemi wysuwały łby z nor i jam jaźwce, wietrząc nozdrzami...

W Otolinku, ranka pewnego, na przyzbie dworka zasiadł Jaszko. Mocno był od niejakiemu czasu zmieniony — w zadumę popadał, gadywał sam z sobą, ludzi unikał, czego dawniej nie bywało... Dziwiła się temu macierz miłująca, frasowała, często, chcąc dojść przyczyny, pytała go o powód niezwykłego usposobienia, aliści zbywał ją syn lada jaką wymówką.

— Nic mi — mówił krótko.

Pani Andrzejowa spowiadała ten swój frasunek mężowi, na co wojewoda jeno dłonią kiwał, odpowiadając spokojnie:

— Zostaw go samemu.

Wiedział bo pan Andrzej, co synowi jest; wiedział, że często do Borowic zajeżdżał i że tam serce mu uwięzło.

Zszedłszy tak zamyślonego syna, popatrzył nań uważnie, zawahał się, wreszcie zapytał:

— Jaszku... czemużeś taki?

Ocknął się młody.

— Czemużeś taki? — prowadził stary, siadając obok. — Czemu ty prawdy nie powiesz? Myślisz może, żem ślepiec niedołężny i niczego nie dopatrzę?

Spuścił oczy badany, zrobiło mu się nie-swojo.



— Co mi ma być? — bąknął.

A pan wojewoda pochylił się ku niemu, ujął za ręce i szepnął:

— Halka ci głęboko w sercu zasiadła?

Nic na to Jaszko, odwrócił głowę, poruszył się niespokojny.

— Ejże, chłopcze mój — uśmiechnął się Andrzej — toć już do starego ojca ufności nie masz, boisz go się, wstydzisz, prawdy wypowiedzieć nie chcesz, jak gdybyś zbrodnię jaką popełnił? Halkęś upodobał mocno, nie prawda-li?

Wciąż milczał wojewodzie.

— Gadajże mi prawdę żywo, nie godzi się rodzica, któren cię tak pocziwie kocha, niepokoić i przed nim się taić...

Na to Jaszko powstawszy:

— Anoście, rodzicu, poznali: srodzem umiłował tę dziewczkę i miłowanie to pokoju ni dniem, ni nocą mi nie daje.

— I srom ci tego?

— Nie srom, jeno żal. Przyłgnęła mi do serca, jako plaster miodu lipcowego, ani jej oderwać... A — tu głos zniżył — w Przanowie Miłka słowo nasze ma.

Stary pogładził brodę.

— Słusznec są twoje sumowania, Jaszku mój, zaś nie należy truć się i gnębić. Da się to wszystko pogodzić.

W oczach wojewodzica zajaśniały radosne błyski.

— Da się to pogodzić—powtórzył stary.— Chybabym serca i rozumu nie miał, żebym cię miał na ciężki żywot skazywać. Porzuć tedy frasobliwe myśli, otuchy nabierz. Halkę ci dam i pobłogosławię.

Do kolan przypadł mu Jaszko, objął je i całował, wołając:

— Żywię... wracacie mi duszę rodzicu!!

— No, ano... folgujże radości — śmiał się wojewoda wzruszony. — Jedynyś mi, nade wszystko drogi... Z Miłką i z Markiem radę sobie damy. Pętli na gardziel nie pozwoliłbym ci własnymi rękoma kłaść.

— Wielem i ja o tem myślał — mówił Jaszko — ale nie chciałem podłości się dopuścić. Oni słowo nasze mają...

— Powiadam tobie: uspokój się i dobrej myśli bądź. Miłkaby ci szczęścia nie przyniosła, sam to widzę. Borowiczanka jak raz dla ciebie. I mnie się ona udała. Macierz z takiej synowej równie będzie rada.

Uściskał syna, ucałował.

— Barwa, a Barwa! — zawołał, zoczywszy sługę, który od pewnej chwili stał opodał, uważając ich rozmowę. — Konia mi z pęt wywleczyć i gotuj. Do Przanowa ze mną pojedziesz.



Niezdługo wojewoda samowtór z gadliwym sługą jechał do siedziby Marka Bogoryi. Obadwaj milczeli. Barwę sromotnie świerzbiał język, ale surowa twarz pana onieśmielała go, wstrzymując gadatliwość.

Nie mógł jednak wytrwać.

— Jegomość, panie miłościwy — począł odchrząknawszy — po co my do onego Przanowa jechać mamy? Widzi mi się... próżna droga.

— Dlaczego?

— Hm... — przeciągle odparł Barwa — jegomość tam kończyć może z Miłką chce...

— Więc? — zagadnął z uśmiechem Andrzej.

— A to... — ciągnął ośmielony Barwa — na nic się zdało. Rozumu u mnie niewiele... zwyczajnie ze mnie człek prosty, wszakże tę oto rękę odciąć sobie dam, jeżeli na mojem się nie stanie.

Znowu odchrząknął, minę tajemniczą nastroił.

— Nasz Jaszko Miłki za żadne skarby świata pojąć nie zechce — szepnął. — Jeżeli kłamię, bodajem natychmiast w ziemię z tym oto koniem moim się zaparł.

W głos się roześmiał wojewoda.

— Patrzajże... a ty skąd wiesz o tem?

— Wiem ci ja, wiem, jeno nie mówię, bo zaraz każdyby mnie głupotą obrzucił. Jaszko

(Boże zachowaj, iżbyście mię, panie, zdradzić przed nim mieli) po uszy rozmiłował się w onej wiedźmie z Borowic, co to ją Halką zwa.

— Doprawdy? — krotocchwilił wojewoda.

— Gardło dam własne, jakem pocziwy — bożył się Barwa. — Wiedźma ta oczarowała naszego Jaszka, bogdajbym tak zdrowo jutra doczekał. Skorom ją tylko obaczył, odrazu wiedziałem, co z tego będzie. Uroczliwe oczy ma, powiedziałem do niego, strzedzby się jej. Ano... naszemu paniczowi gdzie rozumnego słowa słuchać? Jeszcze mnie zdurniał i tylem skorzystał...

Szczerze bawiło to wyznanie starego wojewodę.

— Nowinęś mi powiedział — rzekł wesoło — szkoda tylko, że późno. Trzymajże teraz język za zębami i ani słowa nikomu. Pamietaj!

Miał jeszcze wielką ochotę do gadania Barwa, lecz zajęchali przed gródek Marka, radnierał tedy zmiłkł, obiecując sobie później zawód powetować.

Ono Przanowo smutny przedstawiało widok. Zewsząd wyzierał niedostatek, opuszczenie, począwszy od pól lada jako uprawnych, aż do obejścia gospodarczego i mieszkalnych budowli. Dworek pochylił się, w ziemię osunął, dach w części zapadł, bramy opatrzenia nie miały, jak należy. Po dziedzincu



kręcili się czeladni ospale, hukając jeden na drugiego, a nic nie robiąc. Tam i sam gromady gnojowisk leżały, owdzie z szopy odpadło bierwiono... zgoła bezład i zaniedbanie wszędy. Wojewoda, ilekroć tu bywał, nie mógł się smutnemu wrażeniu oprzeć. Z początku strofował Marka, pobudzał do oględności na przyszłość; widząc jednak, że słowa jego nie wywierały najmniejszego skutku, dał spokój...

Na spotkanie gościa wyszedł człek stary, trzęsący się, w pałąk zgięty, a poznawszy go, serdecznie powitał, za kolana obejmując.

— Nasz ojciec, nasz dobry pan! — mówił ze szczera radością. — Kopę lat... siła czasu...

— Jakże mi się masz, pocziwcze — również wdzięcznie witał staruszka pan Andrzej. — Trzymasz się widzę, wiekowi nie dajesz?

— A! — ręką rzucił stary. — Niewiele mi się należy, i doprawdy... lepiej nie patrzeć na to, co się dzieje, bo człękowi jeno się serce krwawi.

Westchnął.

— Marek doma?

— Gdzieżby był? Leży oto, podlewając gardziel, według zwyczaju.

— Można z nim dziś o rzeczy pogadać?

— Obaczcie sami, panie. Ja tam nie zachodzę... po co mi się próżno truć?

Wojewoda wszedł do dworka, za nim sunął powoli staruszek.

Zastali Marka, w dużej, ciemnej izbie, prześiąkłej wilgocią i wonią trunku, rozciągniętego na wypełzłych skórach niedźwiedziej. Przy nim, z nogami pod się podkurczonemi, siedział człeczek niewielkiego wzrostu, obszarpany, z twarzą głupowatą, pełną pryszczów, z oczyma patrzącemi jak przez mgłę, trzymając w rękach gęźbę, po której strunach palcami uderzał.

— Kto tam? — odezwał się Marek, wejście gości posłyszawszy. — Bies, psiajucho, czemu nie gadasz odrazu, hę?

Szarpnął odartego człowieczyne za ucho, na co ten odpowiedział bezmyślnym śmiechem.

— Musiałeś sobie dobrze pałkę zalać, skoro mnie nie poznajesz — rzekł Andrzej. — Oj Marku, samego siebie nie wstyd ci?

— To wy, miły wojewodo — mruczał Bogorya, z trudnością na nogi powstając. — Ciemno tu, wybaczcie, żem nie poznał. Oczy mam kiepskie z choróbska, które mnie opętało.

— W dzbanie ono choróbsko siedzi — na to Andrzej. — Zbyć go się łącno możesz.

— Wy taki nie wierzycie mi — witał gościa Bogorya. — Ha... trudno was przekonać, ano... i próbować nie będę. Siadajcież, bądźcież sobie radzi, proszę was.... Biesie przekle-



ty, taki a taki synie, leć miodu utoczyć a rażno. Widzisz kogo mamy pod dachem, niecnoto.

— Daj ty spokój z miodem, bo mam z tobą pogadać — przerwał wojewoda.

— Nie zawadzi, nie zawadzi. Przy gawędzie nic nad miód.. Wierzajcie, wojewodo, trunk to rozjaśniający w głowie. Łacniej się rozumie wszystko.

Nie było rady, musiał wojewoda na miód zaczekać, poczem wyprawiwszy Biesa, aby sprowadził Miłkę, zauważył:

— Marku, bacz, że to, co powiem, pod rozwagę należy wziąć, przeto wstrzymaj się od kubków jeśli możesz.

— Wojewodo mój... — płaczliwie podjął Marek — za opoja mnie szpetnego nie uważajcie. Jeżeli do dzbana zaglądam, to przez mus. Narzucił mi ktoś niemoc, która tym jeno sposobem się uspokaja. Nie ruszyłbym, ustbym nie dotknął, gdyby nie to. Wam się inaczej wydaje, ano... Bogiem się świadczę, że mylnie sądzicie.

Podczas tego tłumaczenia zjawiała się i Miłka.

Wcale niczego była dziewczka, acz już nie kwiatek wiosenny. Ogniste musiała mieć serce, co oczy wskazywały, w których od czasu do czasu płonęły blaski palące. Postawę miała pańską, dumną, w głosie dźwięczał jakiś ton niemiły, zgryźliwy, odstręczający.

— Ja tu do was — po powitaniu mówił wojewoda — ze sprawą ważną. Wysłuchajcie.

— Zaciekawiacie nas — przysunęła się Miłka do niego.

— Chodzi właśnie o ciebie, dziewczko i o Jaszka...

W ręce piasnął Marek.

— Nareszcież! — zawołał. — Chcecie raz skończyć? Chwałaż Bogu... Należało się to, co prawda, z dawien dawna. Ano... toć za pomyślność młodych grzechem byłoby nie tracić w kubki.

Co mówił, to też uczynił.

— Powiedźże mi, dziewczko — prowadził nie zważając wojewoda — miłujesz ty szczerze Jaszka?

— O, ba! — przerwał Marek — dobre pytanie. Toć dniem i nocą o nim myśli i radaby jak najprędzej do łóżnicy małżeńskiej z nim...

— Miłujesz Jaszka? — powtórzył zwrócony do Miłki Andrzej.

— Jeżelibym go nie miłowała, po cóżbym czekać miała na niego — odparła Miłka śmiało.

— A gdyby ci przyszło go stracić?

Zastanowiło to pytanie dziewczkę; uważnie spojrzała na Andrzeja.

— Dlaczegoż tak mówicie, wojewodo? — zagadnęła.

— Odpowiedz wpierw — nalegał Andrzej.



— Nie dręczcież jej, bo się rozplacze — wtracił Marek.

— A ty się z językiem nie rwij! — zniecierpliwiony fuknął wojewoda.

Milka nie odrazu odpowiedziała.

— Jaszka po Bogu miłuję najwięcej — rzekła zwolna — oddałam mu serce i stracić go znaczyłoby serce stracić.

Zasepił się Andrzej.

— Hm, a gdyby inny ci go zastąpił?

— Po co te pytania? — zaniepokojona mówiła Milka. — Nie rozumiem, do czego one prowadzą...

— Osobliwy dziś macie humor, wojewodo miły — roześmiał się Marek. — Dalipan osobliwy! Siostrę mi umyślnie dręczycie, aby dobrą wiadomością nagrodzić potem. Dajcież spokój temu... Ot wprost powiedzcie: kiedy skutek nastąpi z Jaszkiem. Razby weselisko sprawić, do ciężkiego licha!

Za rękę go porwała Milka.

— Milczże ty, pozwól panu Andrzejowi, iżby wyłożył swe niejasne słowa — rzekła. — Brzmia mi one w uszach złowrogo, dziwnem przejmują uczuciem...

— Więc ono powiem, jak jest — po chwili ce wahania począł Andrzej. — Wysłuchajcie mnie bacznie.

Prawda, żeśmy z nieboszczykiem ojcem waszym się związali i wierząc... szczerze

pragnąłbym dotrwać przy tem, ale widzę... związek twój, Miłko, z Jaszkiem szczęściaby wam obojgu nie przyniósł, jeno wieczny frasunek i strapienie...

— O! o! zaś... — mruknął Marek.

— Jaszko rozmiłował się na śmierć w innej dziewczce — mówił dalej wojewoda — i ani myśleć, by mu ona z głowy wyszła. Osądźcie: co za pożycie byłoby w tym stosunku? Jedno drugiemu ciążyłoby, jak on kamień topielcowi u szyi... Nielepiejże stokroć wolę sercu zostawić i za jego głosem iść, aniżeli do zgonu trapić się i gryźć?

Milka, w miarę słów słyszanych, to płonęła, to bladła... Zdumiony wzrok jej stopniowo innego nabrał wyrazu. Zapłonął w nim gniew, wywołany głównie upokorzeniem.

— Jaszko inną miłuje, inną chce pojąć... — wyszeptała. — To nieprawda!

— To prawda, dziewczko moja — łagodnie zaprzeczył wojewoda. — Snać sądzono, iżbyście się nie połączyli.

— Jaszko... on miłuje inną... — powtórzyła Milka. — On śmiał... on się poważyl?... A! wyście chyba bez serca, wojewodo, żeście się odważyli zadać mi cios tak bolesny!

Ze śmiechem, goryczy pełnym, rzuciła się na ławę i twarz dłońmi zasłoniła.

— No, no, dziewczko... folguj żalowi—uspo-



kajał ją Andrzej. — Łacniej wcześniej wyboleć, aniżeli pętać sobie życie całe.

— I kto ona? Kto ona? — przerwała Miłka, wstając raptownie. — Powiedzcie, kto mi porwał Jaszka? Serce jej z żywej piersi wydrę i psom na pożarcie rzucę... Ładacznicą musi być, nikczemnicą bez sumienia... W oczy jej naplwm, znieważę...

— Proszę cię, dziewczko, upamiętanie i zastanowienie miej — poważnie ozwał się wojewoda. — Wejdź w siebie, z gniewu niesłusznego ochłoń... ja ci Jaszka nagrodzę i chłopca dzielnego naraje.

— Ani słowa więcej, wojewodo! — gwałtownie zawołała. — Nie ważcie się uragać mi... Jaszko niechaj bierze kogo chce, zerwane pomiędzy nami. Jam nie żebraczka, iżby mnie można zbyć lada ochłapem... Krew Bogoryów nie podlejsza od waszej, chociażście palatynem możnym i wojewodą... Pomnijcie też, że za mną stanie ród cały i zniewagi się dopomni. Sierotam ja, ale... potrafię dać wam się we znaki...

— Nie szalej, słuchaj rozumnej rady, z serca ci ją daję — upominał Andrzej.

— Schowajcie rady wasze i serce wasze dla innych, chociażby dla takich ładacznic, jak ta, co mi Jaszka wzięła... Mnie wystarczy własny rozum...

— Dziewko... miarkuj słowa...

— Miarkujcie wy postęпки wasze... Ano, powiedzieliście, coście mieli, wola z pod tego dachu do bogatych izb swoich. Nie godniśmy tak możnego gościa.

Krew uderzyła do głowy wojewodzie — już miał na uściech odpowiedź, zdołał się jednak wczas wstrzymać.

— Z podwiką na języki nie prowadzić mi wojny — rzekł. — Nie chcesz słuchać życzliwych słów, wszelako przyjdzie chwila upamiętania. Bóg z tobą!

Nacisnął kołpak i wyszedł, nie żegnając się z Markiem, który ogłupiałym wzrokiem wodził to po nim, to po siostrze, nie pojmując, co się istotnie stało.

— Marek, słyszałeś? — zwróciła się do niego Miłka.

— Już cię bo... — wybąknął.

— W oczy nam obelgę rzucono... zdeptało cześć naszą... Czegoż stoisz, jak słup, opoju... Nie wiesz, co należy poczynąć?

— Hm... poczynąć... aa... cóżbyś ty chciała? Trza się z Andrzejem i Jaszkiem rozmówić, może też da się to wszystko naprawić!

— Niedołęgo ty, kłocu bez czucia, smoku trunkiem nienasycony! Zalałeś rozum tak, że nie widzisz zgoła nic i nic nie czujesz? Zemścić się potrzeba, upokorzyć ich, zawstydzić, zdeptać... Rozumiesz mnie, ospaluchu?



— Ależ rozjadłaś się, jak wiedźma... — mruknął Marek.

— Milcz, ani słowa! — tupnęła noga. — Zaraz mi kufel obrzydły rzuć i jedź dowiedzieć się, kto nam Jaszka obalamucił. Jedź a skoro, i pamiętaj, zapomnieć choć teraz o dzbanie. Bogoryś ty, pohańbiono nas sro-dze, musimy czci bronić.

— Więc do Otolinka jechać?

— Głupcze... Ani noga nasza nie powinna tam postać! Do Płocka jedź, gdzie chcesz zresztą, byle nie tam, nie do nich i byleś mi się dowiedział, czego chcę!

— Łatwo ci mówić... — w głowę się skro-bał Marek.

— A ruszże się, niedołego, bądź mężem przecież!! Słuchaj, co mówię, inaczej z domu cię wyżenie, jak psa, że zdechniesz z głodu pod płotem...

Niechętnie, wzdychając i sapiąc, ruszył się z miejsca Marek.

— Oszalała dziewczka, nic innego! Wojnę z panem Andrzejem chce zaczynać... Ej Miłka, ponoby lepiej z nimi zgodnie, widzi mi się...

— Słuchaj, co mówię! — powtórzyła surowo Miłka. — Ani mi się waż swoim rozumem rządzić... Pamiętaj, że słowa dotrzymam, gdy-bys śmiał nie posłuchać. W drogę ruszaj.

— A bies z tobą! — mruknął Marek. —

Chcesz sobie gorzkiego piwka nawarzyć, warz. Obaczmy po czyjej stronie słuszność.

Zawoławszy Biesa, wózek sposobić do drogi nakazał.

— Kaduk nasłał tę płataninę — mówił do siebie, leżąc na dogodnie wysłanym wózku podróżnym, bowiem konia ciężko mu było zażywać. — Nic nie rozumiem, co się stało? Skąd Andrzejowi przyszło zrywać starą umowę, z jakiej przyczyny? Powiada — Jaszko rozmiłowany w innej... Hm... może być... Chociaż głupi on, skoro tak, bo podwika, czy ta, czy owa, jednej miary jest i wartania.

— Dokąd wasza miłość jechać każe? — przerwał mu powożący Bies.

— Do piekła jasnego, niecnoto!! — szpar-ko ofuknął go Marek. — Milcz mi, gębę zawrzyj, skoro się o nic nie pytam!

Po namyśle wszakże mruknął do siebie:

— Jużcić trzeba rozważyć, kędy jadę, chociaż, dalipan, sam nie wiem. Nakazała mi się dowiedzieć, kto skusił Jaszka... Jakżeż to uczynić? Najlepiej do niego wprost, i...

Niecierpliwie poruszył się.

— Pies kąsał całą tę gmatwaninę, gotówem rozum postradać, tak mi się w głowie ko-tłuje.

Znowu się zamyślił. Bies w miejscu stał, zapatrzony w pana, rozkazu oczekując.

— Do Płocka jadę! — zdecydował Ma-



rek nareszcie. — Dalejże... gnaj konie, jeno bacz, byś drogi nie omylił. Ze skórybym cię obdarł.

Wózek potoczył się leniwie, pan z Przanowa jał w dalszym ciągu rozważać:

— Gdzieżbym indziej miał jechać, jak nie tam? Ludzi, jak mrowia, z całego świata się zjeżdżają, o wszystkim też wiedzą. O wojewodzińskich zalotkach wiedzieć również muszą, nie tai się przecież z tem Andrzej. Ot... co znaczy głowa na karku! A Miłka zawdy mi niedołęstwo wymawia, wszelako zawdy mnie śle, gdy potrzeba wypadnie. Siłem czasu nie bywał w grodzie pańskim... ale radę sobie dam... Ho, ho... jeszcze mi rozumu na to stać.

Radę sobie dam. Stać mnie jeszcze na pokazanie, żem rozumu nie zaprzepaścił. Wszakcim Bogorya, a krew to rycerskości pełna, nie jakaś tam nikczemna jucha. Zasłużyła się ona nie jeden raz, pamiętają to po dziś. Sam Wańko poszanowanie dla niej mieć musi, boć od wieku ród nasz stawia krajowi na zawołanie i zasługuje się.

Tak rozmyślając, zasnął Marek, wszelką pewność podróży Biesowi pozostawiając.

Słońko, mimo, że droga lasami biegła, przedzierało się przez płaszcze zieleni drzew, przenikając wszystko miłym ciepłem; owe balsamy wiosenne, z rozkwitających pąków, odorzały swą wonią, upajały... do snu skłania-

jąc. I Bies tedy kiwać się począł pomału, oczy mrużył, aż, po czasie niejakiem — chrapnął.

Już dobrym wieczorem, chłód nadchodzącej nocy zbudził Marka, który ziewnąwszy naprzód, przeciągnął się, kułakami oczy przetarł, siadł i dokoła się rozejrzył.

Wózek stał w miejscu, konie, lby opuszcziwszy, zdawały się drzemać, a Bies na dobre rozkoszował się snem, zażywając go ze smakiem wielkim.

Dokoła, gdzie jeno okiem można było zajrzeć, puszcza leśna panowała. O porze nocnej wydawała się czarną, niezgłębianą otchłanią... Poważny, grozy pełen szum gałęzi, wiatrem poruszanych, dziwnie tajemniczo brzmiał.

Marek powtórnie oczy przetarł.

— Co to jest? — mruknął pod nosem. — Gdzie mnie tu kaduk zaniósł...

Znowu się rozejrzył.

— Zgoła dziwy od samego rana się stwarzają. Bies... Bies... niecnoto haniebny, a ruszże się, bom ci gotów łeb z karku skrócić!

To mówiąc, porwał woźnicę za bary i potrząsł nim z całej mocy.

— A cóż to... śpisz, psi synie?—zawołał.— Gdzieżeś wjechał, gdzieś mnie zawlókł... Co?

Bies jeno ramionami ruszył i drapiąc się w głowę, odparł:

— Albo ja wiem?



Marek w złość wpadł.

— Na pierwszej gałęzi cię obwiesić chmyzie, do krwi smagać, wilkom na pożarcie rzucić! Daj ci kat łeb zakuty urwał, dajesz zmarniał... Spać mu się oto zachciało i masz teraz kłopot!

Zasapał się, zakasłał z tej pasyi.

— Ni szlaku, ni znaku, w przepaść zjechał obwieś! — mruczał odetchnawszy. — Kędy się zwrócić, w którą stronę, u dyaska starogo? Człek z głodu i pragnienia zdechnie, zanim na drogę natrafi. Oto mi się niecnota przysłużył... Ano, jedź prosto. Czekać niema co, noc za pasem.

Ruszył wózek, co chwila to w tę, to w ową stronę się przechylając.

— Bóg wie, jak długo będziemy błdzić — narzekał Marek, wytrzeszczając oczy, azali czego nie dojrzy. — Bodaj czy noga człowieka tu powstała. Przyjdzie liście z drzewa rwać i gryźć, albo kamienie łykać z głodu. Dałże mi łotr! Jako żywo nigdy w biedzie nie bywał podobnej.

A droga coraz uciążliwszą do przebycia się stawiała, zarośla tamowały ją, drzewa rosły gęsto, jedne przy drugich, musiano noga za nogą się wlec.

Wreszcie po jakimś czasie, Bies zwrócił się do pana, wskazując przed się ręką.

— Ludzie... — rzekł półgłosem.

— Gdzie? gdzie? żwawo podjął Marek. — Nie widzę nic.

Rozpatrzywszy się lepiej, dojrzał na ciemnym tle zabudowania; rychło też szczekanie psów dało się słyszeć.

Swobodniej odetchnął Marek.

— Nie leń się, machaj przed bramę — rzekł. — Nie odmówi nam bodaj najgorszy łotr spoczynku i strawy.

Jakoż stanęli niebawem przed bramą, w wale osadzoną.

Długo kołatać i dopraszać się musieli o pozwolenie wjazdu.

Traf zrządził, że na Borowice trafili.

Wreszcie wpuszczono ich, acz niechętnie, co Marka zgniewało niepomału.

— Nie obiecuję sobie wygody tutaj — kalkulował. — Gotowi mi w szopie pod żłobem spać kazać i powietrze, miasto napoju i chleba, ofiarować. Co za ludzie, co za czasy!!

Wprowadzony przez sługę do izby gościnnej, nie zastał nikogo; pusta była, ciemna, głucha... jak gdyby nie zamieszkała. Na zapytanie sługa odpowiedział krótko, niechętnie, oburkliwie... Tyle się dowiedział od niego, że w Borowicach u pana Spytki jest.

— Strasznie mi się on Spytek nie podobą — zauważył do siebie. — Musi być dziwnej natury człowiek, albo łotr jaki całkiem... Oto mi gościna!



Dopiero, gdy wniesiono kaganek ze światłem i z komina buchnął ogień, umyślnie rozniecony, niejakiem nabrał otuchy.

Pan Spytek dosyć długo kazał na siebie czekać, zjawił się zaś pochmurny, nasępiony, wcale zadowolenia z przybycia gościa nie okazując, co wszakże niezbyt wielce obeszło Marka, skoro obaczył, że za gospodarzem wniesiono posiłek obfity.

— Witajcie Bogoryo—poważnie odezwał się Spytek Do dziwakaście zajechali. Ludzi nie lubię i nie rad z nimi przestaję. Trafiliście, powiadam, na dziwaka.

— Żeście gospodarzem, o to nie pytam—odparł Marek. — Domyśleć się snadno i przeczuć odrazu. A czyście dziwakiem, czy nie, zarówno mi. Wiem jeno, iżeście zgłodniałego i zbłąkanego przygarnęli pod dach. Pachole owo z drogi zboczył i ani natrafić na nią.

Uśmiechnął się Spytek.

— Posilcie się, czem chata bogata — szepnął.

— Dajże mi Boże za każdą podobną przygodą do takiego, jak wy, dziwaka trafić — mówił Marek, zmiatając jadło z mis.—Na zamku pańskim lepszej gościny nie należć. O o... co za lipczyk... całować się z nim, dalipan! Nie zbyt niom ja na trunek ochoczy, ale poznam, co wart. Przedziwnie sycony, ogień ma, chociaż go w gębie nie czuć.

Plótl trzy po trzy rozochocony Bogorya, nalazłszy czem gardło odwilżyć.

Weszła niebawem i Halka, którą spozstrzegłszy, nuż witać i podziwiać jął.

— Córka to wasza znać — prawil. — Odrazum zgadł, bom (nie chwalący się) wcale z głową i rozumem. Ależ foremna dziewczka, gładka, niby ptaszę He... he... gdyby nie choróbsko, które mnie dręczy, w nogi wlażłszy, sunałbym w zaloty, jako mnie tu oto żywym widzicie.

Tak się rozgadał — że niepodobna było Spytkowi do słowa przyjąć.

— Skądźce jedziecie i dokąd? — spytał wreszcie, zniecierpliwienie jawnie okazując.

— Ano.. z Przanowa mego — Bogoryów stare to gniazdo! — do Płocka. Mimo niemo-cy zwlec się musiałem za sprawą ważną. Czci bronić, honoru, swego jadę. Ba! gdybyście wiedzieli o co idzie...

Powietrza płucami zaczerpnął.

— Sprawę z wojewodą Andrzejem i Jaszkiem, synem jego, mam. Znać ich obu przynajmniej ze słyszenia musicie. Gadają o nich wszędy, no... niema co, ród zacny i wcale rycerski. Wszakci Bogorya radę sobie z nimi da.

Z fantazyą ręką o stół bił, czupurząc się.

— Jakaż to sprawa? — dopytywał poruszony Spytek.



— Sprawa... jakby tu wam powiedzieć... jużci sprawa niemałoważna jest. Pokrzywdzili nas oni sromotnie, sami hańbę na siebie nakładając.

— To nieprawda, nie może być! — szybko przerwała Halka.

— Musi być, skoro powiadam. Nie należy mi rozgłaszać, o co właściwie rzecz, ale taki przed wami kryć nie będę. Setniem was, Spytku, polubił.

— Jam nie ciekaw — szepnął Spytek.

— Trza wiedzieć — ciągnął rozgadany Marek — że siostrę mam, która przyrzeczoną jest Jaszкови... Słowem są związani oddawna i jeno czekaliśmy godów. Aleć pono Jaszкови indziej serce się zwróciło, tedy słowo zrywa. Słyszaneż rzeczy?! Obraza to, pohanńbienie. Trafił przecie nie na głupca. Bogorya mu zarzewia po za gźło nasypie, pokaże, co znaczy i co może!

Halka z natężoną uwagą słuchała gadaniyny Marka, na jagodach krew zaigrała żywo, oczki zapłonęły niezwykłym blaskiem.

— Jaszko Andrzejów kędy indziej zwrócił? — spytała.

— Tak powiada sam ojciec jego — potwierdził Marek. — Obaczy on, co z tego przyjdzie. Po nosie Bogorya sobie grać nie da. Wojewodzie — co tam wojewodzie! Na piędź ród nasz im nie ustępuje.

— I gdzie uderzył z zalotami?

— Tu sęk, że niewiadomo gdzie! — tajemniczo szepnął Marek. — Właśnie jadę na zwiady. I dowiem się, dowiem, jakim Bogorya! Niedarmo łeb dźwigam na karku, poręczam wam.

— A skoro się dowiesz, to co? — drwiąco zagadnęła Halka.

— Jak to co? — zdziwił się Marek.

— Dajże, sroko jedna, spokój — pogroził Spytek. — Alboż cię to obchodzić może?

— Kto wie? — figlarnie odparła.

Marek uważnie na nią spojrzał.

— Znaćież wy Jaszka? — spytał.

— A gdybym znała?

Przez oszołomioną głowę Marka myśl podejrzliwa przebiegła.

— Co tedy zamierzacie poczynąć? — nie ustępowała Halka, wpatrując się w gościa przenikliwym wzrokiem.

— Ano... dowiem się, kto zacz jest bogdanką wojewodzica...

— I?

— I?... — tu Marek uciał, sam nie wiedząc, co odpowiedzieć. — I... hm... — dodał — już ja wiem, co mi poczynąć należy. Popamięta on mnie!

Roześmiała się dziewczka.

— Albo wy jego — rzekła.

Marek uważniej na nią spojrzał.



— Coś twardo obstajecie za wojewodzie-  
cem — mruknął.

— Godzien jest tego — odparła. — Radzę  
wam zaniechać z nim wojny. Waleczny jest  
rycerz i zacny. Skrzywdzić, nigdy nikogo nie  
skrzywdzi.

— A cichoż mi bądź, tyrkotko! — fuknął  
surowo Spytek na córkę. — Po co ci się w nie  
swoje mieszać rzeczy?

— Nie mieszam się, jeno niewinnie oskar-  
żonego bronię — na to Halka z uporem.

Cmoknął ustami Marek, głową pokręcił,  
dodając:

— Srodze za nim obstajecie — powtórzył.  
— Gotów jestem was posądzić...

— O co?...

— Że was ta sprawa więcej, aniżeli kogo  
innego obchodzi.

— Nie zważajcie na dziewczkę — przerwał  
coraz więcej nachmurzony Spytek. — Zwy-  
czajnie oto, młode, sama nie wie, co gada.

Zwrócił rozmowę na inne sprawy.

Zaś Marek, chociaż trunku nie oszczędzał,  
przecież myśl podejrzliwa mocno mu w gło-  
wie utkwiała. Nie wspominał już o swojej  
sprawie, gadał, co mu ślina na język przynio-  
sła, nie spuszczając wszakże oka z dziewczki.

— Ejże, widzi mi się, w tem coś jest —  
rozważał, udawszy się na spoczynek. —  
Dziewka bo dziewczka! Krasa nad krasy! Każ-

dego zapalićby mogła. Istne ciasto, samo do  
gęby ci lezie! Nużby to ona? Kto wie, kaduk  
nie śpi. Tfu! do licha starego, całem się nie-  
zręcznie wygadał i bez potrzeby. Było mi ję-  
zyk na uwięzi trzymać.

Ano, Miłka wielką prawdę ma, oburzając  
się na Andrzeja. Szpetnie to z jego strony,  
niema co mówić. Słowo — słowem; dało się,  
trza wytrwać. To ciekawa rzecz, co się z te-  
go wszystkiego wyklaruje? Że dla nas nic do-  
brego, to pewnie, boć Jaszka gwałtem do łoż-  
nicy się nie zaciągnie, a... wtedy człek zde-  
chnie z głodu. Ziemia zastawiona, w komo-  
rach pustki, grosza znikąd.

Co ona poczynąć zamyśla, ta Miłka? Po-  
dwika, ale niechaj ją, potrafi radzić w każdej  
potrzebie. E... co mi tam! Jej rzecz i kwita.  
Jak sobie pościele, tak się wyśpi. Krzywdy  
sobie zrobić nie da...

Jabym i wojewody słuchał. Naraić męża  
przyobiecał, niechajby rał. Wywłoki Bogo-  
ryom nie narzuci.

W takich rozmyślaniach sen go zmorzył.

---

#### XIV

W Płocku stanął Marek u znajomego mie-  
szczanina Zięby, który go chętnie i gościnnie  
przyjął, obiecując sobie nielada wynagrodze-



nie odebrać, bo znał Bogoryów z onego czasu, kiedy się do możniejszych pomiędzy ziemiany liczyli; sam zresztą Marek uprzedził go, że darmo nie nawykł nic przyjmować. Był ten Zięba wcale przedni człowiek, kupczył bławatami, co mu znaczne zyski przynosiło. Miał tedy Marek wszelką wygodę. Miał nadto z gospodarza towarzysza miłego, ile, że ten gadać lubił i od kubka nie stronił.

— Nienajgorzej mi się dotąd wiedzie — chwalił sobie Marek wyprawę. — Jeżeli tak dalej pójdzie, ze skutkiem wrócę i Miłkę zadowolę.

Tymczasem siedział w ciepłej izbie, niemal o celu podróży zapomniawszy. Rozpytywał się wprawdzie tego i owego o wojewodzica Jaszka, lecz potrzebnej wiadomości do szukać nie mógł.

— Dobrze mi tu jest, — powtarzał sobie codzień — zaciszenie, spokojnie, jeno, że nie wiekować mi tu, do kata. Miłka gotowa głowę mi urwać za zmudę. Ano, cóż poradzić? Z palca wiadomości nie wyszę, a gdzież jej szukać?

Dzień mijał za dniem, niedziela za niedzielą.

— Widzę, innej rady niema, jak na zwiaady kogo wysłać — poradził mu Zięba. — Nie wiem, co za przyczyna, że waszej miłości tak koniecznie o jakąś wiadomość chodzi? Musi być ważna.

— Jużciże! — nadał się Marek. — Przyczynę mam, inaczejbym kości po świecie nie tłuł.

W istotę sprawy nie wtajemniczał Marek nikogo, na tyle miał zastanowienia.

— Otóż to — ciągnął Zięba. — Wasza miłość niechaj mnie usłucha i do Otolinka zaufaną osobę wyśle. Mam taką nawet na myśli.

— Kogóż?

— Włóczy się tu po mieście baba... ot, prosta żebraczka. Niepozorna, trzech rzekomo nie zliczy, ale w rzeczy samej szczerwana z niej liszka.

Skrzywił się Marek.

— Baba... wiedzma pewnie... — mruknał.

— Jest ona i wiedzma — potwierdził Zięba — zaś lękać jej się niema czego. W potrzebie nikt nad nią nie zaradzi. Wszędzie wlezie, o wszystkim się dowie... jedyna z niej dla miłości waszej pomoc.

Ociagał się z odpowiedzią Marek, srodze bowiem bab nie lubił, szczególniejszych starych, co za wiedzmy uchodziły. Wiadoma rzecz, że taka urok mogła rzucić w jednej chwili.

Zięba nie przestawał namawiać.

— Na waszej miłości miejscu będąc, calebym się nie namyślał. Za dobre słowo i strawy kęs, Petra usłuży jak najlepiej.

— Petra się zwie?

— Tak na nią wołają.



— A gdzie ją znaleźć?

— Naleźć ją najdziemy, jeno przykażcie...

— Nie w smak mi ta baba, ano... cóż robić! — westchnął Marek. — Dawaj mi Petrę ową, może też doprawdy co zaradzi.

— Nikt nad nią — upewniał Zięba. — Słyszysz, jak trawa rośnie i rozumie, co ptaki świągocą. Wasza miłość podziękuje mi za narażenie.

Dwa dni szukano Petry, aż wreszcie się zjawiała.

Marek, obaczywszy ją, wzdrygnął się, przeżegnał i splunął... na psa urok!

Bo też obrzydliwe babsko było, strach spojrzeć. Wysoka i niby wiór sucha, z twarzą zapadłą, żółtą, pomarszczoną tak, iż wydawało się, że jakaś silna ręka ją ścisnęła i zgniotła; pod wązkiem, zakłęsłym czołem, oczy świeciły szare, ruchliwe, niespokojnie patrzące, krwią zaszłe; orli nos je rozdzielał, gwałtownie skrzywiony, zasłaniając nieco szerokie usta, wiecznie uśmiechem złośliwym skrzywione... Z pod szmaty, głowę owiązującej, wysuwały się kosmyki włosów siwych, spadały na suchą, poczerniałą od słońca szyję. Zamiast odzieży, strzępy na niej wisiały brudne, przepasane powrozem, nogi miała bose, kostur leszczynowy, z jeżem na psy, w kościstej ręce.

Do izby, w której Marek na nią czekał,

wszedłszy, siadła bez pokłonu na ławie, jak gdyby w domu własnym była.

— Jestem oto Ziembuniu-robaku — poczęła śpiewnym głosem, w którym pokora, ze zjadliwością połączona, odbrzmiewała. — Jestem, gospodynie łaskawy. Szukałeś mnie pono, znać Petra potrzebna ci. Ano... pięknie, robaku, usłużę, wygodzę, wywróżę, zamówię... co jeno chcesz...

— Ależ szpetne babsko... tfuj! — mrucał Marek, z pod oka na przybyłą patrząc. — Flaki człowiekowi wywracają się na tak haniebny widok. Z piekła ją chyba ten Zięba ciągnął.

Petra zaś śpiewała dalej:

— Czegóż ci, czego potrzeba, jagódko? Zdrów jesteś, więc nie leków... Może — mrunęła chytrze — upodobałeś sobie dziewczkę jaką, a ona bez lubczyku słyszeć o tobie nie chce? Ha... ha... starym do głowy przychodzą myśli Bóg wie nie jakie...

— Folgujże językowi — łagodnie fuknął Zięba. — Otoś się rozgadała...

— Robaku-jagodo... — śmiała się baba — jakżeś ty inaczej chciał? Na starość jeno mi język został, bo krasę kat wziął, rumieniec lic lzy splukały, a słonko i wiatr póty twarz całowały, aż mi się skóra pomarszczyła i żółkła. Język został, powiadam, to moja pociecha. Miele też nim od ranka do wieczora... póki mi go stanie!



Zęby wyszczerzyła, śmiejąc się, czarne, pokruszone,

— Toć zamilcz, stara! — na to Marek. — Pozwól i nam co powiedzieć...

Petra rękoma plasnęła.

— Bodajże... całkiem o gościu twoim, jagodo, zabaczyłam. Wybaczcie, wasza miłość, na starość rozum człeka odbiega... Ha... ha... każdemu na taki koniec przyjdzie.

— Znasz mnie?

— Jakżebym nie znała? Bogorya Marek jesteście z Przanowa, szukacie tego, czegoście nie zgubili, a co wam tuż pod ręką leży.

— Wiedźma! — szepnął Marek.

— Ano, tak mnie zwa. Dlatego też wszystko wiem...

— I to nawet, po com do Płocka zjechał? Lekceważąco usta wydeła Petra.

— Samiście rzekli, żem wiedźma.

Dziw zdjął Marka.

— Jako żywo, to nie może być! — zawołał. — Skądżebyś się dowiedziała?

— Co za pożytek mieć będziecie, chociaż powiem?... Niechaj wam tego będzie dosyć, żem tu przyszła — do Zięby się zwróciła. — Pójdź, jagodo, precz. Trza nam z panem Bogoryą pozostać na cztery oczy. Tyś tu nic potem.

Zięba na Marka spojrział, ten głową skinął.

— Słusznie rzekła — dodał.

Upewniwszy się, że nikt nie podsłuchuje, stara do niego się zbliżyła i szeptać jąła:

— Siostra wasza, Miłka, za Jaszka Andrzejewicza wyjść miała?

— Tak jest — odparł Marek.

— Naraz wojewoda stary syna odmawia, zrywając umowę dawną...

— No?

— Miłka kazała się wam dowiedzieć, w której z dziewczek rozmiłowany jest Jaszko, bo to za powód zerwania dał wojewoda...

— Wszystkoś zgadła.

— Dowiedzieliście się czego?

— Gdybym się dowiedział, nie wołałbym ciebie.

Petra przysunęła się bliżej.

— A wiecież po co Miłka żąda tej wiadomości?

Myślał długą chwilę Marek, lecz na-próżno.

— Prawdę mówiąc: nie wiem — odparł szczerze.

— Ja wiem za to — z pewnego rodzaju dumą odezwała się Petra. — To, czego żąda siostra wasza, słusznem jest. Wojewoda po-hańbił krew waszą... głośnie to już wszędzie, wzgardą wam rzucił w oczy, takiej krzywdy nie odczuć niepodobna!

Mówiła to z dziwnem przejęciem się i ogniem.



— Potrzeba wam zemsty? Będziecie ją mieli. Ja wam podam sposób, bylebyście mnie słuchali we wszystkim.

Z szeroko rozwartemi oczyma na starą poglądał Marek.

Ona zaś prawila coraz zapalczywiej:

— Mam ja rachunki z panem Andrzejem... Ale co wam o tem rozpowiadać. Słuchajcie mnie, powtarzam, nie pożałujecie.

— Bies ją opętał... — mruknął Bogorya.

Jakoż Petra niezwykle się ożywiła, głos jej teraz syk rozdrażnionej gadziny przypominał, żrenice rozszerzone błyszczały, jak u nocnego ptaka... Cała jej postać wyrażała jakąś straszną, zapamiętałą groźbę.

— Ależ, przez Boga, powiedz, co zamysłasz? — bąknął Marek niepewnie. — Niechaj się dowiem, niech rozpatrzę...

— O krzywdzie waszej gadają wszędy — przerwała mu Petra. — Skorom usłyszała gadki owe, zwlekłam się do Przanowa języka do stać ze źródła. Siostra zaufała mi... ufajcież i wy.

— Miłka?

— Innej nie macie. Potrafiłam też, wracając do Płocka, wywiedzieć się, która to z kraśnych Jaszka usidliła...

— Ano, ano?

— Byliście u nich...

— Halka Spytkówna?!

Skinieniem głowy potwierdziła stara.

— Haniebnie piękna dziewczka — zauważył Marek.

— Hańbę też i niesławę na dom wasz jej krasa ściągnęła. Nie odbiegajmy jednak od rzeczy. Posłuchajcie, czego się jeszcze dowiedziałam...

— Alboż to nie wszystko?

— Poza jutro zmówiny się odbędzie Halki z Jaszkiem... — powoli wycodziła Petra.

— Pewnież aby?

— Na wiatr nigdy słów nie rzucam.

Niedowierzenie okazał Marek.

— Skąd tak rychło?

— Nie tak znów rychło, jak myślicie, Jaszko zna Spytkównę już sporo czasu. Krył się przed wami, bo go wstyd było z prawdą wystąpić; dopiero sam stary znieważył was się ośmielił.

Z natężenia myśli pot kroplisty na czoło Marka wystąpił.

— A... a Miłka co? — zagadnął.

— Poleciała wam słuchać mnie we wszystkim...

— Ba! Jakżeż pierwszej lepszej wiedzy na lada słowo ufać?

— Wola wasza, musu tu niema.

— Powiedzże przynajmniej, co zamierzasz?

— Powiem tylko, iżbyście siedzieli tutaj



cicho i spokojnie, dopóki wam sama znaku nie podam. Język trzymajcie na wodzy, to główna rzecz.

— O tem przestrzegać nie potrzebujesz...

— I to powinniście wiedzieć, że Spytek ów to wielce niewyraźny człowiek—dodała Petra. — Niewiadomo skąd się wziął... Żyje w zamknięciu, ludzi do siebie nie dopuszcza. Siedzi obłą w puszczy bezdrożnej, wprost kryje się przed światem...

— Dziwak jest.

Stara roześmiała się w głos.

— Nie taki on dziwak, jak myślicie — rzekła.

Słowa te tknęły Marka.

— Łotrzyk może, na kupczących czyhający? — przeszło mu przez myśl.

— Jeżeli kto jest dziwakiem, to wy, mościwy panie — ciągnęła Petra, powoli wyraził się. — Gdybyście byli uważniejsi, poznalibyście w panu Spytku...

— Dokończcie raz.

— Zbyszka ze Skrzypna.

Mimo niemocy, porwał się Marek na równe nogi.

— Jezu, Marya... co pleciesz szalona?!!

A stara jeno głową kiwała, — wsparta na swym krzywym kosturze.

— Co pleciesz, co wygadujesz?! — bełkotał Marek. — Zbyszko ze Skrzypna... on? Ależ

Wańkoby go na pierwszej gałęzi obwiesił, gdyby się o nim dowiedział...

— Słusznie mu się to należy.

— Zbyszek?... Niemożliwa rzecz! Zbyszek dawno ziemię gryzie, ani po nim znaku... On miałby mieszkać tu, pod bokiem Wańka? Blekotuś się objadła...

— Paneńku-jagodo... trza było dobrze patrzeć — rzekła Petra. — Nazywacie mnie wiedźmą, niechaj nią będę, wszystko mi jedno; że zaś lepsze oczy od waszych mam, to prawda... Ano, zachowajcież nowinę dla siebie, przyjdzie czas na nią. Czekajcie na mnie, jakom rzekła, sami nic nie poczynając. Porachujecie się wy z wojewodą, porachuję i ja... Będziemy mieli krzywdy nagrodzone. Oho... i jak. Co komu stara Petra przyrzecze, to święcie dotrzyma.

Przyśpiwując, wyszła z izby, Marka w niezmiernem zdumieniu zostawiając.

---

## XV

U pana Zbyszka w Borowicach odprawiano uroczystość zmówin Halki z Jaszkiem.

Wojewoda, pragnąc syna szczęśliwym widzieć, czasu nie tracił. Wnet po rozprawie



z Miłką, Zbyszka w zamiary swoje wtajemniczył, za syna się oświadczył, na co Zbyszek, acz z pewnem wahaniem, przystał.. To sobie zastrzegł, iżby godów sutych nie sprawiać, a odbyć je w szczupłym gronie rodzinnem. Żądanie było słusznem ze wszech miar. Wańko, jakkolwiek Zbyszka za przepadłego uważał, dowiedziawszy się o jego istnieniu, nie omieszkaby prześladować, uważając za swego nieprzejednanego wroga.

Halka bez namysłu rękę swoją Jaszko wi przyrzekła. Pokochała dziewczka wojewodzica całą siłą młodego serca...

Układały się tedy rzeczy jak nie można lepiej (wojewoda i Jaszko nie przypuszczali ani na chwilę, iżby Bogoryanka chciała przeszkody jakowe im stawiać) — Barwa jeno z początku coś mocno sumował, marszcząc czoło. Sromotnie mu się nie podobało to najgłówniej, że nakazano mu język za zębami trzymać i o małżeństwie pańskim, Boże chowaj, nie rozgadywać.

Głowił się, dochodząc przyczyny dziwnego zakazu.

— Jakom rzekł odrazu, tak też jest — prawil do zaciekawionej czeladzi, skoro go wojewoda uświadomił co do biegu spraw. — Spojrzałem tylko raz w te jej oczy... a już wiedziałem, co z tego będzie. Opętała mego pana Jaszka, niby urokiem. Ano... jużćić trza

przyznać, że i ksiądz Zegota, choć siła gada przeciw miłośnictwu i zalotom, gdyby ją obaczył, językaby w gębie do cna zapomniął. Osobliwie kraśna jest...

— Powiadałeś, że urocziwa — zauważył któryś z towarzyszy.

— Zakute lby macie i dosyć na tem — oburzył się pocziwy sługa. — Powiadałem... powiadałem! Może to bardzo być, że mi się z języka takie słowo ześliznęło, aleście nie zrozumieli, com myślał, tak powiadając. Urocziwa jest, ale... no... toć przekonacie się, że podobnej żaden nie oglądał. Co zaś miałbym złego na myśli? Głaby jesteście skończone, ani się z wami rozumnemu człowiekowi dogadać.

— Ale dlaczego wszystko ma odbyć się niby w skrytości? — dopytywano.

Na to Barwa poważnie:

— Zakatyście ciekawi! Tym razem tyle wiedzcie, że tak pan wojewoda chce. Powód znam, bo nic przede mną nie tają; ano co ja, to nie ty, jeden i drugi synie. Dano wam rozkaz... słuchać i ani słowa. Wasza powinność jest pańskiej woli pilić.

A sam, tak mówiąc, niezmiernie był powodu tajemniczości ciekawym.

W dniu zmówin, nikt, prócz gospodarzą, Halki i wojewody z synem, nie zjechał do Borowic. Radzi byli wszyscy temu — bo pew-



ność mieli uniknięcia rozgłosu, a przytem serdecznego nastroju nikt nie miał. Starzy — dawni a szczerzy druhowie — dogadać się mogli, ile chcieli, o przeszłości, młodym zaś lepiej było w parce jeno. Nic dziwnego, że wszystkim czas zbiegł szybko — ledwie o ranej godzinie się rozstali. Wojewoda z synem, mimo zaprosin Zbyszka, pozostawać w Borowicach nie chcieli, pragnąc skończyć rzecz jak najprędzej — na to zaś przygotowań trza było niemało.

Nazajutrz w Borowicach zjawiał się Petra.

Babę wpuszczono niezbyt chętnie, ale bez obawy.

Odrażająca była, wszelako tak przebiegła i zręczna, że potrafiła sobie jednać ludzi. Języka nie żałowała i nim to właśnie otwierała sobie drzwi zarówno chat mizernych, jak i bramy grodów ziemiańskich.

Przywlekła się niby oto po drodze... — na przedsieniach skulona usiadła — jęła gadki pocieszne prawić, żarty stroić, nowinki opowiadać — jak zazwyczaj. Czeladź, znudzona zamkniętem życiem, rada była odwiedzinom starej. Roześmiać się mogli, zabawić, rozgadać. Pan Zbyszek zżymał się — ale ubogiej bezdomej nie gonił precz.

Siedziała tedy Petra śmiejąc czeladź, co raz to zabawniejsze wymyślała krotochwile,

wciąż oglądając się, azali nie nadejdzie ta, której oczekiwała.

Oczekiwała zaś Halki.

Gdy się wreszcie zjawilo dziewczę, stara żwawo na nogi się porwała i nuż gnać się, kłaniać a śmiać:

— Jagodo-skowronko... a jakże mi się masz?! Królewnaś ty istna, malowanie, kwiat wiosenny... Srebro ci na twarzy błyszczy, gwiazdy w oczach pałają, a z czołka słonko przegląda... Popatrz na mnie ptaszko, starość mi lżejszą będzie... odetchnę rażniej... Ha! ha... bodaj to latka młode... latka swobody i radości, bodaj — wiosna w życiu!

Szczerzyła obrzydliwe zęby, mrugając bezrzesemi powiekami.

— Pono wyfrunąć masz z gniazdka, pono sokoła dojrzała ptaszka... — ciągnęła nie ustając. — O! sokół jasny, niby dzień, skrzydła ma lotne, skry w ślepiach, a żar aż mu bucha z piersi, tyle go tam... Mołojec nad mołojcami! Boże ci szczęść, jagodo! Boże szczęść!

— Skądże ty o wszystkim wiesz? — rumieniąc się mimowoli, spytała Halka.

Za odpowiedź Petra, w boki się ująwszy, śmiać się poczęła.

— Od czegożem stara? Wiek długi żyję na tym świecie białym, tożem się dożyła chociaż tego, że więcej od innych wiem. Ano... i ty się dowiesz, kraśna, że... niezawsze z radości ra-



dość się rodzi, że często po radości łzy nastają,  
po śmiechu — płacz, jak po wiosnie — zima  
z wietrzyskiem i śniegowicą... Dowiesz się ty,  
dowiesz, jagodo, a bodaj... rychło.

Zachichotała dziwnie.

Halkę aż mrowie przeszło.

— Smutnie gadasz — szepnęła, cofając się  
w tył.

Nachyliła się ku niej wiedźma.

— Smutnie gadam, bo gadam prawdę —  
rzekła. — Dziwni ludzie! Dziwni ludzie! Oniby  
radzi wszędzie i we wszystkim jeno szczęś-  
cie widzieć, a szczęście...

Machnęła suchą ręką — drugą ścisnęła  
kostur.

— Co też ja nie wyprawiam... — znowu  
się roześmiała. — Ot! na starość kręci się po  
głowie szaleństwo. Daruj, jagodo, daruj sto-  
kroci — babsko... jak zazwyczaj... sama nie  
wie, co praw.

Obejrzała się dokoła, poczem na ucho  
szepnęła dziewczce:

— Chodź jeno za mną.

— Ja? — spytała Halka.

— Chodź za mną a sama. Dowiesz się  
ciekawej rzeczy...

— Czego ty ode mnie chcesz? — coraz  
więcej zdziwiona zagadnęła Zbyszkówna.

— Nie pytaj a chodź, — mamrotała baba. —  
Tu ludzi zawiele.

Zaprowadziła Halkę po za wał, do lasu,  
Borowice okalającego.

Dziwnie smutne przecucie opanowało  
dziewkę; owa szkaradna, wstrętne baba, jej  
zagadkowe słowa, przepowiednie groźne...  
przejmowały pierś młodą lodowatą trwogą.

— Dalej nie pójde — rzekła, gdy już dość  
znacznie od wału się znalazła. — Mów raz, co  
masz.

— Mam ci, mam siłę nowości dla ciebie,  
aż się zdziwisz, jagodo — na to Petra, rozgła-  
dając się tam i sam, jak gdyby kogo wzrokiem  
szukała. — Baśń ci rozpowiem, jakiej ci żadna  
piastuna nie wymyśli. Ho! ho! co za baśń...  
Baśń jeno z nazwy, a w rzeczy samej prawda  
to będzie szczerza, jak to, że słońko nad nami,  
a dokoła puszcza. Ano... siadź owo tutaj —  
dodała, wskazując mchem porośłą kłodę. —  
Chwilę zajmie gadka, a nóżek toczonych  
szkoda.

Siadła na to wezwanie Halka, stara tuż  
naprzeciw.

— Hej, hej... dawno się to działo! — po-  
częła, wsparłszy brodę śpiczastą na dłoniach,  
którymi kostur oplótła. — Wód do morza od  
tego czasu spłynęło wiele, i gwiazd wiele  
z nieba błękitnego znikło, szczerło pośród  
puszcz i borów. Kropla wody do morza się  
stoczy — łza to jedna z oczu ludzkich tryśnie,  
niby srebrem tak jasno zabłyśnie i bez znaku



przepada na wieki... Gwiazda z nieba wysokiego zleci — szczęśny dzionek człowiekowi ginie, i w tęsknocie wtedy życie płynie, bez nadziei, bez jasnej radości...

Ucichła nieco, lecz podjęła wnet:

— Poznał rycerz, poznał hołubeńkę, jasnopiórą, z okiem niby niebo; kraśne miała liczko, brwi sobole, a krew z mlekiem na twarzy, na kraśnej. Zajrzał sokół hołubenkę miłą, więc ją bystrem swem okiem przeszywa, i już serce jej porwał w swe szpony, niema biedna spokoju dnia — nocy. Dnia ni nocy nie zazna spokoju, bo wciąż sokół stoi przed nią jasny — życia dla niej bez niego już niema, niema szczęścia, ni chwili radosnej. Baśń się plecie, — jak wszystko na świecie, więc na wiosnę o wiosennym kwiecie, a jesienią — o liściach zmarniałych, a wśród zimy — o kwiatach zmartwiałych. Baśń się plecie — jak życie na świecie, więc się śmiechem odezwie, pustotą, więc jutrzienkę opowie ci złotą i lzy rzewnej nie pominie w kolej.

— Dziwna ta baśń twoja — zauważyła Halka.

— Nie koniec jeszcze; posłuchaj, a przekonasz się, że warta była ucha — odparła stara.

Dnie za dniami płyną, sokół gołąbkę tuli, o miłowaniu zapewniając. Na wiek wieków dla niej żyć pragnie, zawsze razem, zawsze w

uścisku. I wierzyła mu nieboga, ba! jakżeż nie wierzyć? Czcią się kłął być wiernym, rękę na mieczu kładł i Boga na świadki wzywał. Aż tu traf zdarzył, że sokołowi w oko inne wpadło liczko. Zapomniał o czci swojej, o przysięgach, o klątwach — miłośnicę pierwszą porzucił, wzgardliwie ją odtrącił, ku nowej krasawicy się zwracając...

— Po co ty mi taką baśń opowiadasz? — przerwała nagle Halka.

— Po co?

— Wytłumacz, co na myśli masz, co chciałaś powiedzieć?

I pochwyciło dziewczę białemi rękoma pogarbione palce Petry, wstrząsnęło niemi, aż starej kostur wypadł.

— Alboż mnie nie rozumiesz? — zapytała Petra przeciągle. — Nie jasneż to? Nie wyraźne? Nie do pojęcia? Ejże... przed sobą przyznać się nie chcesz... ha! ha! bo przeczuwasz, że po liczku, po srebrnem łzy pocieką, potoczą się, perłami posypią...

— Babuś... na Boga jedyne, nie męcz, a wyłóż rzecz...

— Zaczekaj jeno — szepnęła stara, nadsluchując — jest tu ktoś, co ci lepiej wszystko wyłoży.

Złożyła dłonie i huknęła, niby puhacz, nawołujący dzieci do żeru.

Wnet od wschodniej strony szelest się



między gęstwiną ozwał, ktoś szybko dążył, przedzierając się i łamiąc przytem suche gałęzie.

Przed zdumionym wzrokiem Halki stanęła Miłka, przybrana jako mąż.

Rywalki wymieniły spojrzenia.

Halka cofnęła się o krok w tył, ręce wyciągnęła przed siebie, niby odpychając groźne widziadło... Bogoryanka stała jedną ręką na włócznie oparta, drugą rozchyłała krzak, tamujący jej zbliżenie się do Spytkówny.

— Kto ty jesteś? — zapytała, ośmielając się, Halka.

A Miłka przypatrywała się rywalce w milczeniu, zaś twarz jej mieniła się co chwilę, oczy coraz żywszym ogniem płonęły, coraz to namiętniejszy i groźniejszy miały wyraz. Zdawało się, że pragnie rywalkę spalić tym wzrokiem, spopielić, upokorzyć, nazawsze złać i zgnać.

— To ona! — szepnęła wreszcie, łamiąc gwałtownie gałęzie krzaku. — Piękna jest... piękna... a! mogłam się była tego spodziewać.

Petra odstaąpiła na stronę, z ponurą twarzą przypatrując się tej scenie...

— Piękna! — powtarzała Miłka. — Mogła mu serce wziąć i przykuć kamieniami więzami do siebie... W głuchym lesie wyrosła jagoda i tę dojrzeć musiał...

Roześmiała się dziko onym śmiechem ury-

wanym, w którym szaleństwo połączone jest napół ze łkaniem rozpacz, napół z nienawiścią.

— Ta baśń to prawda! — zawołała nagle Halka. — Tyś nie mąż, jeno dziewczka, jak i ja, a Jaszko...

Jeszcze głośniejszym śmiechem odpowiedziała Miłka.

— Teraz rozumiesz — szepnęła Petra. — W baśni zawdy prawda na dnie, jeno oczy trza mieć, jeno rozumem jej słuchać.

Nie słyszała tego Halka, pierś jej falowała szybko, wezbrana nawałem uczuć niespodzianych. Czuła w niej ból dziwny, który ją szarpał, niby dzikie bestye żer spotkany; czuła dreszcz lodowaty, obejmujący członki iście przedśmiertnym uściskiem... Policzki jej płonęły, z oczu suchych łzy przemocą spłynąć chciały, lecz tamowało je coś niepojętego... W gardle słowa uwieźły, łkania — i cały ten wyraz rozpacz, taką ulgę sercu sprawiający, gdy się na jaw wydobyć zdoła.

— Halka jesteś, pana z Borowic córka, zaręczona wczoraj za ledwie Jaszkiowi — rzekła Miłka, nasyciwszy się pierwszym wrażeniem — a jam... przyrzeczona mu odawna, od dziecka prawie... I zmówiliście się już, słyszę, ha... spieszy się Jaszko. I dziwu niema. Oplatać taka krasa może każdego...

— Co to wszystko znaczy... na Boga, po-



wiedźcie! — zdołała wyjęknąć Halka. — Nie krwawcie mi serca, miejcie litość... cóżem wam winna?

— Co znaczy? — szyderczo powtórzyła Miłka. — Znaczy, że litość mam nad tobą i ostrzedz cię przychodzę przed nieszczęściem, jakie ściągniesz, poślubiając Jaszka; znaczy, że chcę burzę z nad domu waszego odwrócić i... jeżeli przyjaznej ręki nie podać, to bez zawiści o was wspominać; znaczy, że mnie usłuchać musisz, — musisz jeżeli nie chcesz sama paść ofiarą zemsty mojej i ojca rodzzonego jej poświęcić...

Zmieniła ton mowy na groźny i nakazujący.

— Słuchaj, kraśna — mówiła, ujmując gorączkowo rękę Halki — słuchaj i zapisz sobie każde moje słowo w pamięci. Jaszko jest mój, mój! Nikt, prócz mnie, do niego prawa nie ma. Rodzice nas zmówili dziećmi, lada dzień przed ołtarzem miałam z nim stanąć... Poznał ciebie, rozmyłował się... ano! to szal jeno, który minie, byleś nam na drodze nie stawała. Dla szalu tego wzgardził mną, porzucić chce, srogiej doli zostawić na pastwę... Ale ja na to nie pozwolę — bo go miłuję, bom go pokochała całą duszą, bo bez niego — śmierć mi! Szal to jest, powiadam,, wierzę, iż powróci, byleś ty chciała. Zejdź mu z oczu, usuń się, odepchnij go. Zabrać ci go nie dam — nie dam za

Nie czekając odpowiedzi, pospieszyła ku domowi, pozostawiając staruchę w osłupieniu.

## XVI

Jak rzekła, tak też postąpiła Halka. Na groźby rywalki ani myślała zważać, nie wspomniała nawet o nich przed nikim. Ową grożącą jej dziewczkę za szaloną poczytała i chociaż z pewnym niepokojem, stanęła jednak przed ołtarzem, zaprzysięgając Jaszce miłość i wierność do zgonu.

Nie spodziewała się tego Miłka; była pewną, że groźbami zmusi ją do cofnięcia się i zerwania związku. Ani na chwilę nie przypuszczała, iżby się inaczej stać mogło.

Aż tu Petra przyniosła jej wieść inną.

Szał wścieklej rozpaczy ją ogarnął. W pierwszej chwili omal nie straciła zmysłów... miotła się, niby tygrysica zraniona, musiała ją stara hamować.

Po krótkim namyśle, w podróż ku Płockowi się puściła.

— Niechaj się więc stanie, czego sami chcieli — mówiła do siebie.

W Płocku o brata dopytała się łącno — wprost zajechała do niego, ku wielkiemu jego



zdziwieniu, boć Marek też nie przypuszczał, iżby siostra tak gorąco sprawę miała do serca wziąć i sama dla niej po szkaradnych a ciężkich drogach się tłuc.

— W imię Ojca i Syna... — zawołał, zoczywszy ją. — Ty tu po co?

— Dowiesz się niebawem — szparko mu rzekła. — Wprzód powiedz, czy księżę nasz doma?

— Wrócił z łowów, z pod Czerska, wczoraj, mówią.

— Pójdziemy do niego.

Oczy wielkie zrobił Marek.

— My, do pana?...

Niecierpliwiła się Miłka.

— Słuchać mnie masz, skoro sam o niczem pomyśleć nie potrafisz! — przerwała mu ostro. — Odziej się dostatnio, jak na Bogoryę przystoi, i pójdziemy, nie zwłócząc.

— Ale bo... pilisz, pędzisz, jak gdyby się paliło... — wymawiał się Marek.

— Bo i pali się — z mocą podchwyciła Miłka. — Nie wiesz, że Jaszko żonę już ma?

— Wiemy o tem wszyscy...

— I wszyscy o sromocie naszej pewnie wiedzą? — roześmiała się gorzko Miłka. — Wiedzą pewnie wszyscy, że wojewodzie z Otolina wzgardził krwią naszą, że ją odepchnął... Palcami nas wytykać będą, śmiać się, w oczy

uragać... A! lepiejby nie żyć w takim wstydzie...

Ręce załamała.

— Gotuj się, a wnet... — innym głosem przemówiła. — Żebyś mi w mig był, jak należy. Ano... poruszże się ty, klocu obrzydły!

Mrucząc, stękając i wzdychając, Marek jął się gotować na zamek.

Do księcia nie był zbyt łatwy przystęp, szczególnie, gdy łowami utrudzony, spoczywał. Jeżeli go wtedy niepokojono, złym się stawał, cierpkim i porywczym.

Bogoryowie musieli natrętnie prosić, opowiadając się ważną sprawą, zanim ich Zaręba do komnaty posłuchalnej wpuścił.

Wyszedł Wańko z wyrazem jawnej niechęci do gości.

— Z czem przychodzicie? — spytał z góry. — Coś niezwykle ważnego powiedzieć macie? Słucham. Byleśmy czasu nie tracili, bom dzisiaj nie do gadki.

— Miłościwy panie — na to Bogoryanka — po sprawiedliwość przychodzimy do ciebie, srodze ukrzywdzeni.

— Tak ci jest, miłościwy panie — wtrącił Marek. — Ukrzywdzeni srodze...

— Kto was ukrzywdził i w czym? — zapytał Wańko.

— Wojewoda twój, Andrzej i syn jego...

— Wojewoda i Jaszko?



— Oni, miłościwy panie, poczęła Miłka.— Rodzic mój (zmarło mu się dawno) Bogorya z Przanowa, w przyjaźni z panem Andrzejem był zażyły. Przyjaźń tę umocnić postanowili związkiem Jaszka Andrzejowicza ze mną. Więc oto zaprzysięgli sobie, że gdy w lata po temu zajdziemy, połączą nas. I miało to się stać, mimo, że rodzic mój zmarł. Andrzej upewniał mnie o dotrzymaniu przysięgi, Jaszko też... Wierzyłam im. Wierzyłam im, i... bo po co mama kryć... i umiowałam wojewodzica, a miłowanie moje coraz to głębsze, silniejsze było...

— Tymczasem zdradził cię i pojął inną?— uśmiechnął się książę.

— Zdradził, złamał przysięgę, na wstyd, na urąganie ludzkie wystawił... — potwierdziła gorąco Miłka.

— I owo przychodzisz go skarżyć? — lekceważąco ramionami poruszył Wańko. — Aliści stało się już, odstać przeto nie może.

— Nie o to go skarżę, miłościwy panie, jeno o to, że pogardził krwią naszą, przenosząc nad nią krew zdrajcy i łotra, któremu dawno gnić w lochu należy...

Zastanowił się Wańko.

— Wojewodzic wszak pojął dziewczkę Spytka z Borowic?

— A znacież go?

— Słyszę, wcale zacny mąż jest, chociaż go nie znam.

— Znacie go dobrze, widywaliście często — rzekła Miłka znacząco. — Ów Spytek a Zbyszek ze Skrzypna to jedno.

Zamilkła, wpatrując się w twarz Wańki przenikliwie.

Wrażenie, jakie sprawiły na księciu te słowa, było iście piorunujące. Porwał się na nogi, ręką czoło potarł, wzrok mu zapłonął.

— Zbyszek ze Skrzypna?!— zawołał. — Zbyszek... on to ma być?

— Nieinaczej. Jego córkę pojął Jaszko.

— To fałsz, to nieprawda... Umarli nie powstają z grobów... Przecież upewniano mnie, że Zbyszek zmarł — szeptał Wańko.

— Łatwo się o tem przekonać można, miłościwy panie. Kaźcie mu stanąć przed sobą...

A Wańko wciąż powtarzał:

— Nie może być, by z martwych powstał... Tyle czasu, tyle lat...

— Słuchajcie — dodał groźnie i nakazująco. — Do gniewu tą wieścią podnieć mnie chcecie, ano... gdyby się okazała fałszem... srodzebyście niebaczne słowa odpokutowali.

— Głową za prawdę ręczymy.

— Zbyszek... Zbyszek żyje... pod moim bokiem! On śmiał, on się ważył... on?! A wojewoda... jednać się ze zdrajcą, bratać, w rodzinne związki wchodzić... Niedoczekanie wa-



sze, aby wam to ujść miało... Zbyszkowi zdrady dowiedziono... Z Łokciem chadzał na mnie, najeżdżał. Wiedzą o tem wszyscy.

Trząsł się z gniewu.

— Miłościwy panie — zauważyła Miłka — jeżeli chcecie dostać zdrajcę w ręce, należy szybko i ostrożnie działać. Inaczej... dowiedziawszy się, zniknie bez śladu.

— Twoja prawda, dziewko — potaknął Wańko. — Bacz jeno, byś mnie nie zwiodła. Zbyszek... na Boga w Trójcy przysięgam, głowę da, gdy go ujmę! A panią Jaszkową... wyświecić za granice moje każę, wyrzucić ten pomiot zdrajcy!...

Dzika radość odbiła się na twarzy Bogoryanki — Marko osłupiały słuchał, zdając się nie pojmować tego, co mówiono.

— Zaręba, hej... sam mi tu!! — zawołał Wańko.

Zjawił się wołany, ksiązę go na stronę odciągnął i długo szeptał a gorąco.

Faworyt zdziwiony był wieścią, jakiej mu ksiązę udzielił, głową poruszał z niedowierzaniem, przeczył nieco, lecz w końcu skłonił się, przyjmując dany rozkaz.

Polecił mu Wańko ujęcie Zbyszka — za przewodnika miała służyć Bogoryanka.

Jakoż nazajutrz rankiem wyjechał Zaręba z Płocka, prowadząc za sobą ze trzy dziesiątki zbrojnego męża. Prócz samego dowódcy

i Miłki, tuż obok jadącej, nikt właściwego celu podróży nie wiedział. Na dopytywania dworzan, odpowiadał faworyt krótko:

— Zobaczycie rychło.

Budziło to niepomierną ciekawość.

Pan Zbyszek, po godach córki, wybierał się w daleką znać podróż. Odbyć ją miał samotrzeć jeno, bez znacznych przygotowań. Gdzie się udać zamierzał? — na pewno nie mówił. Stary Kaczor coś o Ziemi Świętej przebąkiwał, o Rzymie odwiecznym...

Zarębę na grodek wpuszczono — jak zwykle — niechętnie. Kaczor mruczał i krzywił się, Zbyszek chmurzył, ale faworyt pański nalegał i zmudził tak, że go radzi-nieradzi, przyjąć musieli.

— Gromadę łotrzyków gonię — opowiadał gospodarzowi — w tych lasach się kryją. A wielcy szelmowie są w niej, dojedli kupcom do żywego.

Słuchał Zbyszek, nie słuchając, radbył się gościa zbyć, tak mu ciążył. Obawiał się przytem, żeby go Zaręba nie poznał.

Ten zaś o rychłym wyjeździe nie myślał — w najlepszej fantazyi się rozsiadł, prawiąc o tem i owem.

— Niedawno tu mieszkać musicie? — zapytał wreszcie od niechcenia.

— Wam co po tem? — mruknął Zbyszek.

— Coby mi było? Tak sobie, z ciekawo-



ści próżnej — roześmiał się Zaręba. — Znam wszystkich ziemian do jednego, o was zasłyszałem ledwie niedziele temu.

— Któż wam powiedział?

— Córkęście zamaż wydawali za wojewodzica... o tem ludzie gadali... Ano dziw jest, że w ukryciu żyjecie, niby marucha w legowisku. Ludzie i świat wam niemili?

— Może i niemili!! — powoli odparł Zbyszek.

— Srodze musieli wam dojeść — prawil Zaręba. — Różnie się trafia... Jednemu miód praśny przeznaczono pić, drugiemu żółć cierpką. Taki już świat.

Westchnął i przeciągnął się.

— Ot i pan nasz miłościwy... małoż ma utrapienia? Niedość, że go Łokieć namęczy, jeszcze sam je sobie sprowadza, bogdaj tak, jak ową Zbyszkową ze Skrzypna...

Mimo całej siły woli, gospodarz nie mógł poruszenia żywego ukryć.

Zauważył to faworyt pański.

— Co wam jest? — zapytał.

— Nic. Chyba się wam coś zdaje.

— Napytał sobie nasz Wańko przez tę miłośnicę biedy — podjął na nowo Zaręba. — Dała mu się ona we znaki. Mąż jej do zdrady się posunął, zginął przez to, a nagryzł księcia bez miary... I co za korzyść w końcu? Owa miłośnica uciekła, niewiadomo gdzie.

Zbyszek milczał, oczy w ziemię utkwil.

— Znaliście wy Zbyszka? — dopytywał natręt.

— Wcale nie znałem — surowo odparł gospodarz.

Zaręba wstał, po izbie jał chodzić, stanął od niechcenia u okna.

Gdyby go uważał Zbyszek, byłby dostrzegł, że znaki jakoweś daje ludziom swoim, którzy się na dziedzińcu porozkładali, ale ten oczu nie podnosił.

Naraz do izby wszedł Kaczor, na stronę pana wziął.

— Nie podobają mi się ci goście, proszę waszej miłości — rzekł z cicha — pozbyćby się ich...

— Co ci w głowie? — na to Zbyszek.

— Słyszałem, jak jeden z nich, tam w dziedzińcu, naszeptywał do innych, rozkazując w pogotowiu być. Coś w tem złego czuję. Strzeżmy się ich, panie.

I doprawdy Kaczor słyszał — jak Miłka (za męża była przebrana) polecenia wydawała, stosownie do znaków Zaręby.

Ledwie tych słów domówił, gdy we drzwiach ukazali się zbrojni.

— Miłościwy gospodarzu — odezwał się Zaręba cale odmiennym tonem — nie w gościńemy do ciebie zjechali, a zgoła po co in-



nego. Zdaj się na wolę i niewolę, mamy rozkaz cię ująć i panu dostawić.

Dumnie głowy podniósł Zbyszek.

— Wy... mnie ująć? — zawołał.

— Zbyszek jesteś ze Skrzypna, za zdradę i niecnotę na gardło oddawna skazany. Nie przecz, nie broń się, a poddaj...

— Ja zdrajca? Ja niecnota?! — huknął Zbyszek, miecza dopadając, który na ścianie tuż w izbie wisiał.

To widząc, Zareba skinął na swoich.

— Wziąć go, związać i w drogę...

Rzucili się zbrojni na Zbyszka — ten podać się nie myślał. Zawiązała się rozpaczliwa walka.

Kaczor przez okno skoczył, wołając na cały głos:

— Pana łotry mordują... Rata! Rata! ludzie!...

Na gródku zakiębiało, zawrzało; czeladź Zbyszkowa rzuciła się do izby drzwiami i oknami, chwytając po drodze, co kto mógł...

Nieprzygotowanych łącznie przemogli księżcy — pomimo rozpaczliwych wysiłków. Niebawem też powracał Zareba ze swoimi do Płocka, wioząc pożądanego jeńca, skrępowanego powrozami, jak ostatniego łotra.

Milka tryumfowała.

## XVII

Przed kościołem dnia świątecznego, po sprawionych modłach, gwarno zazwyczaj i tłumnie. Zbierają się ludziska, o tem i owem gawędzą... nowinek sobie wzajem udzielając. Tak też roiło się przed kościołem w Bielsku pewnej niedzieli, a roiło gęściej, niż kiedykolwiek. Stały gromadki większe i mniejsze, o twarzach zaciekawionych, ożywionych, rozprawiając żwawo a głośno.

Przed samem wejściem do świątyni zebrało się coś ze szczęściu mieszczan wieku średniego, zamożnych, radę miasta reprezentujących.

— I kiedyż to ma być, kiedyż? — dopytywał jeden stojącego pośrodku.

— O południu pono jutro — odparł ten. — Trzeba się będzie zebrać i dojechać. Gadają, że dużo nowego zasłyszec tam można.

— Na gardło skazany?

— Mieczem go zetnie mistrz. Jeno to ciekawa rzecz, czy nie przeszkodzą temu panowie ziemiany? Srodze, słyhać, odgrają się.

— O... zaś! — podchwycił trzeci. — Pańska wola, jego sąd.

— Zdrajca... to mu się należało.

Stojący pośrodku tajemniczo twarz na-stroił.

— Zdrajca, albo i nie zdrajca — szepnął.



Obejrzał się, zniżył głos.

— Trudno tu końca połapać. Gdzie ich brzeg? Kat wie! Wańko żonę mu porwał, dlatego pańscy zausznickowie na zdrajcę go przerobili, co jako insi mówią, fałsz wierutny jest, bo pan ze Skrzypna wielkiej godności mężem był i... mimo krzywdy, zachował się wcale pocziwie.

Z pod drzwi kościelnych powstała siedząca dotąd postać niewieścia. Odzież na niej poszarpana, twarz blada, zapadła, oczy zamglone... istny obraz nędzy ostatniej.

Wstała, nieznacznie do rozmawiających podeszła.

— Coś i ja tak słyszałem — mówił wtedy najstarszy wiekiem.

— Wańko, ani słowa, rycerski pan, krew w nim piastowa, ale go srogim i okrutnym słusznie zwa. Gdy zechce—do rany go przyłożyć, ale nie daj Boże przeciw woli jego stanąć... O prawdę nie pyta, bodaj rodzonego, jak drzazgę, rozszczepi!

— Tak ci jest! Tak! — potwierdzono.

— On Zbyszek ze Skrzypna najwierniejszym mu był. Dzielny mąż, siłę o nim opowiadają chwalebnych rzeczy. Pana miłował szczerze, a książę odwdzieczył mu się, sromotę na wiek cały rzucając. Ano... prośby ani błagania nie pomogły, co do zwrotu żony.

— Nic dziwnego, że przeciwko panu stawał potem.

— Ale ot! Chadzał z Łokciem na Krzyżaki i Śląsk jeno, zaś przeciwko nam ręki nie podnosił.

— Za cóż go zdrajcą okrzyczeli i kaźnią?

— Kto tam wie? Sumienie Wańka gryzie, chce się śladów swego występku zbyć.

Niewiasta, od kilku chwil słuchająca rozmowy, nieśmiało głos podniosła:

— Kogóż to kaźnić mają? — spytała.

Spojrzeni na nią rozmawiający, zmierzylili pogardliwie wzrokiem.

— Tobie na co wiadomość? — zagadnął jeden.

— Powiedzcie, dobrzy ludzie, jeżeli macie Boga w sercach, powiedzcie! — prosiła, ręce złożwszy.

— Zbyszka, dawnego pana ze Skrzypna. Masz, czegoś chciała.

— Za co? Za co?

— Ciekawaś nadto — roześmiał się któryś. — Idź sama na gród do Płocka i popytaj. Jeno rychło, bo jutro o południu już będzie po wszystkim.

Rozpaczliwy krzyk rozdarł powietrze — to niewiasta owa krzyknęła, padając bez zmysłów na ziemię.

Wnet się zebrała około niej gromadka ludzi — dopytywano, co się stało.



— Wiedźma jakaś — rzekł ktoś. — Nawiedzona śnać.

— Skąd jest? Jak się zwie?

— Zachciało się wam! Czart ją po świecie wodzi i dziwy z nią wyprawia. Siostra to jego godna, ani chybi.

Ten i ów się przeżegnał, inny splunął, inny się roześmiał.

I rozeszli się po domach.

A niewiasta leżała długo, bez znaku życia. Wreszcie litościwy ktoś podniósł ją, orzeźwił, przytułek nawet chciał ofiarować, ale go nie przyjęła.

— W drogę mi czas — szeptała gorączkowo. — W drogę czas daleką. Ani chwili do stracenia niema. On głowę ma dać, głowę za mnie...

Prawiła tak nieskładnie, gdyby dur nią miotał.

Wszakci przed zachodem słońca wyrwała się i puściła drogą ku Płockowi.

Ktoby był widział tę postać wybladłą, suchą, z oczyma płonącymi, spieczonemi i drgającymi usty — za maręby ją wziął. Nie szła, nie biegła, a snuła się, płynęła, jako owe boginki z gadek i baśni.

— Aby zdążyć, aby zdążyć! — powtarzała co chwila.

Droga lesista była, od dżdżów rozkisła —

nogi do ziemi przylegały; na to nie zważała, pędziła, niby wiatrem gnana.

— Na czas zajdę, nie dam go, ochronię, ocalę! — naszeptywała.

Słońko zapadło za czarne bory, za chmury sine — ciemność ogarnęła przestrzeń tajemniczym płaszczem... ona spoczywać nie myślała. Gałęzie jałowców, odziane w ostre kolce, rozrywały nędzną jej odzież, szarpały ciało, nogi o głązy krwawiła twarde... to dla niej nic.

— Ocalę go, ochronię... — wciąż gadała — zdążę na czas, a on wszak robi wszystko, czego zażadam, boć mi to winien.

Nie słyszała wycia burch wilków, mrużenia niedźwiedzi, leniwie przewracających się w leżach.

Ledwie na chwilę o drzewo jakie się wsparła, tchu zaczerpnęła w piersi zmęczone i znowu pędziła przed siebie...

Z Bielska do Płocka — nie na kraj świata, lecz niewiasta srodze była nikła, wycieńczona i zbiedzona. Nadludzki uczyniła wysiłek, podążając sama, pod noc, w porze silnie zepsowanych dróg. To też mimo pośpiechu, zaledwie po rozwidnieniu ukazały się jej oczom wieże grodu pańskiego i kościołów z krzyżami, lśnięciami pod blaskami słońca złotem.

Teraz dopiero odetchnęła wolniej, na kło-



dzie zwalonego dębu przysiadła, nie spuszcza-  
jąc oczu z celu podróży.

I tym razem jednak niezbyt długo wypo-  
czywała.

— A nuż nie zdążę, nuż go stracą? —  
wciąż to jedno stało jej na myśli.

W Płocku dnia tego panował nastrój nie-  
zwykle gorączkowy. Z domów wychodzili lu-  
dzie posępni, nieswoi, rzadko kto słowo rzucił.  
Niewiasty chyba, naturze ulegając, melły języ-  
kami, rozpowiadając wzajem o czymś nadzw-  
yczajnem. A wszyscy zmierzali ku dobrze zna-  
nemu miejscu, *katowiskiem* nazwanemu,  
tam bowiem kaźniono przestępców jawnie, dla  
przykładu powszechnego i przestrogi.

Obszerny to był plac, opodal bramy War-  
szawskiej położony, bez zabudowań zgoła.  
Kilka drzew jeno stało pośrodku, do mnichów-  
pustelników podobnych, ze zwieszonemi posę-  
pnie konarami.

Dzisiaj moc ludu się tu zbiegła, tworząc  
szeroki krąg. Przypominali mrowisko, poru-  
szone ze spokoju natrętną stopą. Pośrodku  
placu deski rozłożono, stał na nich ogromny  
pień drzewa, leżały powrozy i chusty.

Tłum zbierał się od rana — aby obaczyć,  
jak mistrz tracić będzie Zbyszka ze Skrzypna,  
inaczej Spytkiem na Borowicach zwanego,  
ogłoszonego za sromotnego zdrajcę.

Nadchodziło południe — ludzie niecierpli-  
wili się... wyrzekali na mitręgę, tak im było pil-  
no krwawy dramat obaczyć. Znaleźli się i ta-  
cy, którzy wątpili o dojściu do skutku kaźni...

Wreszcie z oddali ukazał się orszak pań-  
ski. Na czele jechał komornik z łańcuchem na  
szyi i laską srebrną w rękę, za nim Wańko,  
z nieodstępnym Zarębą i strojnym dworem.

Twarz srogiego pana mocno była zmienio-  
ną. Błada, ściągnięta — dawała poznać jakąś  
walkę wewnętrzną, niepokój. Usta miał zaci-  
śnięte, oczy prawie całkiem powiekami za-  
słonił, a ręką często szarpał uzdę wspaniałego  
rumaka, na którym jechał. Stanąwszy na pla-  
cu, siadł na ławie tuż naprzeciw pnia, dwór  
po za nim się umieścił, wedle godności, jak na-  
leżało.

Niezaślęgo nadjechał skazany, na wozie,  
z nim mistrz z pacholkami i srogiem narzę-  
dziem kary — olbrzymim mieczem, kunsztu  
niemieckiego. Wóz otaczała straż dość liczna,  
zbrojna od stóp do głowy.

Skazaniec miał na wierzchu szat narzuc-  
oną długą, białą koszulę, powrozem opasaną  
w stanie, głowę bez nakrycia, nogi bose. Był  
zupełnie spokojny. Patrzył dokoła smutnie,  
z rzewnością, ale pewnie...

Śmierć go nie przerażała.

Wańko spojrzał na niego, wnet jednak oczy  
w ziemię wparł.



— Kończyć, ano rychlej! — szepnął do swoich.

Wystąpił z końca pańskiego orszaku niepozorny człowieczyna, gestem milczenie tłumowi zebranemu nakazał, poczem jał wołać:

— W imię Trójcy Przenajświętszej. — Amen! Jako Zbyszek, pan ongi na Skrzypnie, okazał się zdrajcą haniebnym, na życie miłościwego pana naszego i dobro a spokój jego poddanych nastającym; jako w tej zdradzie lat wiele uporczywie trwał, o czym dobrze wiadomo, boć z nieprzyjacioły się kojarzył, unikając rycerskiego obowiązku względem pana swego prawowitego: tak też i zginąć ma śmiercią zdrajcom należną, a głowa jego dla przykładu wszech wobec zatkniętą zostanie na palu, i tak ma przebyć dni trzy i noce trzy, by odstraszała każdego od zdrady lub też inszej zbrodni. A to postanowienie jest rady przemądrej i pana miłościwego, niechaj tedy się wypełni.

— Tobie zaś niech Bóg przebaczy ten czyn zbrodniczy! — zawołał Zbyszek, do księcia się zwracając.

Wańko jeszcze niżej spuścił głowę, ani słowa nie rzekł.

Teraz nastąpiła kolej na mistrza.

Zanim przystąpił do więźnia — zwrócił się ku człowiekowi, który wyrok obwieszczał.

— Z wolą sądu jest to, zali nie z wolą? — spytał.

— Z dobrą wolą i po prawdzie. Czyń swoją powinność — odparł zapytany.

Wtedy kat na pacholków skinął, ci przystąpili do Zbyszka, aby mu ręce związać, lecz na to nie pozwolił.

— Obejdzie się bez tego — rzekł.

Nie pozwolił też sobie oczu zasłonić, sam klął przy pniu, raz jeszcze spojrzął w stronę księcia, chwilkę wzrok na jego bladej twarzy zatrzymał.

— Niechaj każdy będzie takim zdrajcą, jakim ja byłem przez całe życie—odezwał się.

Następnie położył głowę na pniu, mówiąc do kata:

— Tnij, byleś nie męczył. Skończ dorazu...

Grobowe milczenie panowało w tłumie. Oddechy w piersiach się zaparły... niewiasty tuliły się do mężów.

Olbrzymi miecz obosieczny błysnął w powietrzu, warknął złowrogo, padł zatem z impetem srogim...

Głowa pan Zbyszka potoczyła się ku nogom księcia — krew buchnęła z arteryj, tworząc na deskach purpurowy kobierzec.

— Jezu... Marya!! — rozległo się pomiędzy zebranymi.

Mistrz za włosy głowę ściętą ujął, podniósł do góry, okazując, jako spełnił, co od niego żądano.

Wciąż milcząc, wstał Wańko i już konia



dosiadł, zamierzając powrócić na zamek, gdy nagle pomiędzy tłumem rumor się uczynił, wołanie ozwało się dzikie, stłumione.

Przez zwartą masę zgromadzonych, na środek placu, przedarła się niewiasta, ta sama, co z Bielska dnia poprzedniego zbieżała.

Spostrzegłszy kata, trzymającego ściętą głowę, ryknęła krzykiem boleści, za czoło się ścisnęła, rozejrzała, poczem silnym ruchem wyrwała miecz z rąk mistrza i wprost na księcia się rzuciła, wołając:

— Zbójco! Zbójco!!

Koń księcia, zestraszony, dęba stanął, z całą siłą potem opadł przednimi kopytami na piersi niewiasty, gruchocząc je okrutnie.

Rzucono się ku nieszczęśliwej.

A Wańko, spojrzawszy w twarz leżącej, zatrzęsł się, posiniał, omal z konia nie runął.

— Zozula!! — szepnął. — Ona tu...

Zawrócił konia i jak strzała, pocwałował ku zamkowi.

### XVIII

Ujęcie i stracenie Zbyszka odbyło się niezmiernie szybko, tak, że zaledwie bliżsi ziemianie dowiedzieć się o tem mogli. Wańko umyślnie pilił, gdyż przewidywał, że skoroby Andrzej i Jaszko zasłyszeli o tem, niezawodnie

postawiliby opór, a za nimi i czoło rycerstwa. Pora jednak nadarzyła się stosowna dla zamysłów księcia, bo wojewoda z synem na rubieżach Litwy ścierali się z nieprzyjacielem, wieść ich dojść mogła po spełnionym dopiero czynie, a ta okoliczność pozwalała na wypełnienie wyroku, a raczej bezprawia.

Dobrze rozważył pan mazowiecki. Zbyszek był swego czasu lubionym i poważanym powszechnie, w obwinienie go o zdradę nikt nie wierzył. Nie wierzył w nie prawdopodobnie i sam Wańko, jeno czuł nienawiść do męża pięknej Zozuli nieprzepartą. Wieść o istnieniu tego żywego wyrzutu sumienia przeraziła go, postanowił się pozbyć go bądźco bądź.

Ci z panów mazowieckich, których wiadomość o ujęciu i srogim a pośpiesznym wyroku doszła, nie kryli oznak niezadowolenia. Biskup wręcz to księciu wymawiał. To szczęście dla Wańka, że czasy były niepokojów pełne, inaczej z pewnościąby śmierć Zbyszka wywołała poważniejsze następstwa... Ale tu i Litwa i Ruś plondrowały dzierżawy z jednej strony, Łokieć z drugiej, Czech, zamiast przyrzeczonego sojuszu, przeniewierzył się i wręcz zajmował grody, jak gdyby swoje. Krzyżactwo nie próżnowało też.

Wyrok książęcy dokładnie spełniono: głowa pana ze Skrzypna została wbita na pal, na postrach ludziom, a pociechę drapieżnego pta-



ctwa. Straży przy niej nie było. Nikt o ustawieniu jej nie pomyślał nawet.

A jednak nazajutrz głowy męczenika nie znaleziono na palu. Znikła bez śladu. Dziwowali się temu ludzie, lecz pocichu, z obawy, aby się do księcia nie doniosło, bo pono w tak zawziętem był usposobieniu, jak nigdy. Zaręba nawet przystępu do niego nie miał.

Tej samej właśnie nocy ku Otolinkowi pędził jeździec, nagląc konia do pośpiechu. Przed gródkiem zatrzymał się, rozejrzał.

— Petra! Petra! — zawołał głosem przyciszonym, a wcale nie męskim.

— Miłka to była — Bogoryanka.

Na wołanie przez chwilę nikt nie odpowiedział.

— Petra, bywajże! — powtórzyła Miłka. Z pod drzewa podniosła się postać ludzka.

— Tyżeś to jagodo? — spytała. — Otom przysnęła trochę, sen mnie zmorzył.

— Cóż tam? — przerwała Miłka.

— Jak najlepiej. Sama jest pani Jaszkowa z teścią. Mąż i pan Andrzej nie rychło jeszcze wróca.

— Dobrze wiesz?

— Ludzie ich własni tak mówią.

— Czas tedy, do świtu daleko, ale tem lepiej. Swobodniej się rozprawimy...

Stara poczęła zęby szczerzyć według zwyczaju.

— Oto mi to! Oto mi! Rozpraw się, jagodo, a należycie. Zapłacisz im i za siebie, i za mnie.

Aż się w boki ujęła.

— Pan Andrzej zaprzepaścił mego Pietrzyka, rodzonego jedynaka, do Płocka go przywożąc, gdzie w lochu zginął... naściżę odpłatę, naści!! Ha... ha... Petra dobrze płaci — oko za oko, ząb za ząb!

Miłka przez ten czas z konia zsiadła, uzdę babie oddała.

— W pogotowiu bądź — szepnęła. — Niedługo tam zabawię.

— Dobrze, dobrze... Nie spodziewają się gości tak zacnej i nawidzonej. Idź jagodo, a rychle wracaj, niechże wiem, jak cię tam przyjmą...

— Powrócę wnet.

W Otolinku spało wszystko — ledwie, że stróża dowołać mogła Miłka, opowiadając się przed nim ważnym posłem Jaszka do matki i żony. Niezwłocznie ją też wprowadzono do dworu i znać gospodyni o niej dano.

Upłynęło coś czasu, zanim wyszły niewiasty do mniemanego posła — przedtem służba roznieciła ogień na kominie i sprawiła światło.

— Co się stało, dla Boga? — zapytała pani Andrzejowa, nie poznając dorazu Bogoryanki. — Aby nie co złego.

— Wcale nie — odparła śmiało Miłka. — Przywożę oto dla młodej pani upominek...



Na dźwięk tego głosu Halka pobladła.

— Toś ty? — rzekła z trwogą.

— Ja sama. Com przyrzekła — dopelniam. Oto mój podarek na początek...

Ze śmiechem okropnym dobyła z pod sukni chustę, w której coś było owiniętego.

— Naści, moja piękna, to dla ciebie — rzekła.

Rzuciła na stół wydobyty przedmiot — z chusty potoczyła się okrwawiona głowa panna Zbyszka.

— Co to jest? — zawołała Halka, przypadając do stołu.

— Początek dopiero... — na to Miłka.

Okropny, przeraźliwy jęk wydarł się z piersi Halki...

Poznała głowę swego ojca, chociaż twarz srodze była męką śmiertelną zeszpecona.

A Miłka zniknęła w jednej chwili z izby — przebiegła dziedziniec, siadła na koń.

— Bywaj stara w Przanowie, ja tam jadę — szepnęła.

Ruszyła z kopyta.

Petra popatrzyła za nią chwilę.

— Rycerski w niej duch a nie babi — mruknęła. — Ależ też to pan wojewoda rad będzie.

W tej chwili rozległ się przeciągły, ponury grzmot.

— A to co? — spojrzała do góry. — Uu...

toćże to sroga burza nadciąga... Nie stać mi tu przecie.

Żwawo podążyła za Miłką.

Istotnie burza nadciągała, zapowiadając się zdaleka. Niebo zaćmiły chmury czarne, ciężkie, do kiru żałobnego podobne. Rozdzierały je raz wraz, coraz częściej, błyskawice, kasały kształtem ognistej szczęki, najeżonej olbrzymiemi zębami...

— Żeby dziuplę jaką natrafić — mruzczała stara, przyspieszając kroku. — Burza w lesie... niech ją tam bies przeprowadzi gdzieindziej...

— Hop, hop... Petra!! — ozwał się głos Miłki. — Ozwij się, jeżeliś blisko...

— Tu jagodo, tu! — wrzasnęła baba. — Ułękłaś się burzy?

— Nie, jeno zblakania się obawiam, a ty znasz wszelakie tropy. Prowadź do Przanowa.

— Ani sposób. Lepiej przytulić się do jakiej pocziwej drzewiny i przeczekać nawałnicę. Inaczej rady sobie nie damy.

Jakoż schroniły się pod rozłożysty, prastary dąb.

Błyskawice pojawiały się nieustannie, a za niemi ponure, groźne huki gromów. Porwał się i wiatr, jał szarpać gałęzie drzew, miotać niemi, łamać je...

— Nie żartem weselisko sprawia bies — klepała Petra. — Byleby nie długo...

Wicher coraz szaleńsze wyprawiał harce,



coraz to częściej huczały gromy, a wraz z niemi słyszać było trzask walących się drzew...

— Straszno mi, Petra — szepnęła Miłka.

— Nic to. Taka sroga nawałność powinna przejść rychle...

— A nuż...

— Co?

— Nuż nie przejdzie?

— Zaś! Nie dzisiaj żyję na świecie, nie jedną burzę przetrwałam. Nie bój się, jagodo, ważyłaś się na większe rzeczy, a teraz oto ci strach.

— Możeby powoli iść, bodaj omackiem?

— Zachciałaś! Kroku nie zrobisz w tej ćmie. Nie bój się, powiadam, z Petrą jesteś, nie stanie ci się nic...

Zaledwie tych słów domówiła, słup ognisty ogarnął i ją i Miłkę... rozległ się potężny, nie do opisania, huk...

Dąb runął strzaskany, jak olbrzym, zwyciężony w boju — nazajutrz można było dojrzeć tuż obok niego dwa zwęglone trupy...

Koń jeno ocalał.

. . . . .

Nie sądzono Halce pięknej zażyć szczęścia na świecie. Jaszko po powrocie zastał w domu mary, a na nich — młodą małżonkę.

Serce biednej pękło z żalu po rodzicu.

K O N I E C.



165433